

БИБЛИОТЕКА

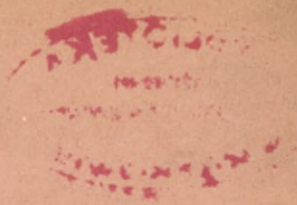
FW
SP
КРАСНОВ

2599





2510547



WYDAWNICTWO IMIENIA M. BRZEZIŃSKIEGO.

L. 109.

NARCYZA ŻMICHOWSKA

(GABRYELA),

poetka uczuć rodzinnych —
wychowawczyni narodu.

NAPISAŁA

CECYLIA WALEWSKA.



.e01 .L



2599

UP - Kraków BG



1050152294

DRUK. KLAMKOWSKI I RAJSKI
WARSZAWA, NOWOGRODZKA 21



Jest w arcydziele Żmichowskiej „Poganka“ ustęp, któremu podobnych nie zna chyba literatura świata całego: tak skupia się w nim głębia macierzyńskiego uczucia, tak prosto a wnikliwie, niby głos białego anioła, przemawia miłość-przebaczenie, miłość ukochanie, miłość-nadzieja.

W samą wigilię Bożego Narodzenia wraca do rodziny syn marnotrawny, którego długi czas zwano tylko „małeńkim“, „synkiem“, „pieszczotką“ — aż wkońcu siostrzyczka, rozmiłowana w historii synów Jakóbowych, nazwała go „Beniaminkiem“, gdyż najmłodszy był z całego rodzeństwa; wraca — po sześciu latach tułaczki: starzec - młodzieniec, łysy, przywiedły, trupio blady, cień dawnej chluby, dumy, radości rodziny.

Psy szczekają i wyją na niego, a jednak nie ukąsi go żaden, gdyż czują jakby trupa przed sobą. Mała dziew-

czynka wynosi mu chleb i jałmużnę, ale on, pocałowawszy ją w rączkę, idzie za nią i staje na progu pokoju, gdzie stół był nakryty, siano podesłane, w jednym końcu siedziała blada kobieta z białymi jak srebro włosami, w czarnej sukni i czarnym czepku — po obu jej stronach młode żony, młodzi mężowie, dorastający chłopcy i panienki — opłatki połamane: wszystko, jak przed laty...

— Matko! Matko moja!... krzyknął, łkając i tuląc się do niej, jak obłąkany. A gdy na czole wraz z pocałunkiem uczuł jej łzę gorącą, pomyślał:

— Ja mam jeszcze matkę!...

I spytał o ojca i braci.

Dwu z pomiędzy nich i ojca już nie było.

— Zmarli chrześcijańską śmiercią — odpowiedziała matka.

— A nie nad ich zgonem wypłynęły najbardziej gorzkie łzy nasze — odezwała się któraś z siostr. I to był jedyny wyrzut, który go spotkał.

Otoczono go troskliwością i opieką, jak gdyby nie odszedł od nich, porwany szaleństwem życia, jak gdyby przez całe długie sześć lat—tę dobę hardych przygód swoich—nie zaparł się domu, rodziny — dziecko wyrodne i nie wrócił, aż kiedy połamane skrzydła już dalej nieść go nie mogły.

Tego wieczora, gdy rozeszli się wszyscy, matka wzięła go za rękę i poprowadziła do swego pokoju.

— „Pamiętasz — rzekła — jak długo tu sypiałeś w swojej kołysce, a potem w owym małym czerwonym łóżeczku? — od urodzenia aż do chwili, w której pierwszy raz konia dosiadłeś i w której twój ojciec z uśmiechem powiedział: „On to już teraz dorosły mężczyzna, niechże sobie stąd na własny przemysł między ludzi idzie!“ — I zaniesiono wtedy pościółkę twoją do braci na górę. I nauki, zatrudnienia, młode lata twoje uniosły cię jeszcze dalej od ma-

cierzyńskiego boku — i zanosły tak daleko, że mnie się zdało, jakobym już na zawsze moją pieśczołkę, moje dziecko najmłodsze straciła.

Ale teraz, kiedy wróciłeś do mnie, mnie się znowu wydaje, że ja ciebie drugi raz na świat wydałam, że tak, jako wtedy, nie obejdzie się znowu bez moich starań i bez ciągłej opieki mojej; dlatego też patrz, Beniaminku, sama usłałam twoje łóżko w tem miejscu, w którym dwadzieścia cztery lata temu kolebka twoja stała. Zaśnij spokojny, jak gdybyś miał z jutrem po raz pierwszy na światło oczy swe otworzyć; nie pomnij złego, Beniaminku; wyrzuć z serca przeszłość całą; tylko nie wyrzucaj tej miłości, którą nas kochałeś dawniej. Z tą miłością zaczniemy jeszcze bardzo piękne życie; alboż to nam czasu braknie? — *Serce matki zna cudowne tajemnice wieszczego odżywiania we wszystkich chwilach przeszłości swego dziecięcia.* Zobaczysz, Beniaminku, że nam dobrze będzie“...

Czy jest w poezji świata piękniejsze w wyrazie swoim a potężniejsze bezdnią uczucia przemówienie matki do marnotrawnego syna swego? Najtkliwsze serce i najmądrzejsze zrozumienie prawd życiowych tylko mogły je podyktować.

Nikt tak nie umiał sądzić i przebaczać, jak Żmichowska sama. Ale przebaczenie to musiało przejść zawsze drogi miłości, a zwłaszcza miłości, poczętej w łonie matki, stwierdzonej, uwierzytelnionej przez ojca i przekazanej — skarb bezcenny — rodzinie.

„Powiadają, że jeżeli szczerą miłość rodziców w małżeństwo złączyła, to zawsze potem zobopólne przywiązanie dzieci ich łączy“ — pisze Żmichowska w ostatniej swojej pracy: „Czy to powieść?“, drukowanej po śmierci już, a nie dokończonej, bo życia nie stało.

Tę myśl rozwijała poetka i w większości poprzednich swoich utworów, a jak dalece była jej drogą, najlepszy

dowód, że stwierdziła ją gasnącem już niemal piórem swoim.

Matka była dla niej tem ogniskiem, które skupiało w sercu swoim uczucia wszystkich dzieci, tak że nic już nigdy rozdzielić ich nie mogło.

Z błogosławieństwem tej miłości szły do życia orle-ta, znajdując w niej obronę przeciw złemu, pociechę w krzywdzie, osłodę w troskach i twardych znojach. A gdy uległo które, jak Beniamin z Poganki, zasadzkom pokusy i odbiegło od progów rodzinnych, czekały na nie jednak zawsze serca, pełne radości przebaczenia, czekała matka, która wie, że niema samoluba, pyszałka, a nawet zbrodnia-rza, któryby nie zatęsknił za jej pocałunkiem, jeżeli ko-chającemi usty dawała mu go w dzieciństwie.

Żaden z naszych autorów nie podniósł macierzyń-stwa do takich wyżyn, jak Żmichowska, i nie opisał tak porywająco matki-kapłanki: czy jest nią młoda żona, cała w zwojach muślinów, któremi — niby białym obłokiem — bawi się zwieszone u piersi jej niemowlę; czy blada sta-ruszka z białymi jak srebro włosami, która czeka na porwane wichrem świata pisklęta swoje, wierząc, że muszą wrócić, bo wołanie jej silniejsze od zapyry czasu i przestrzeni.

„Matka“ — ten wyraz niebiańską pieśnią brzmi w du-szy Żmichowskiej i jest sam w sobie już miłością, szczę-ściem, nadzieją, pociechą.

„Ach, jak to przy matce dobrze było i chorować!“ — woła bohaterka pamiętnika: „Czy to powieść?“

Matka z obcych serc nawet umie wyczarować uczucia dla tych, których sama kocha. Czyni to bez rozmysłu, bez oznaczonego z góry celu i planu, ot po prostu siłą prawdy wewnętrznej, przyciąganiem własnej miłości.

Człowiek, wykołyszany w uczuciach rodzinnych, choćby poniosły go nawet fale grzechu, nie zatraci się nigdy w wy-stępku aż do dna: zawsze z kątów duszy powstanie w nim

głos-przypomnienie, głos-pieszczota z nad kołyski jego który go zawróci.

Szczęście rodzinne niezatartym śladem ryje się w duszach. Im słoneczniejszą miłością opromieniony świat i poranek dziecka, tem pewniejszą strażą od mroków zła zabezpieczone są jego południa i zmierzchy.

Z przedziwnym wdziękiem opisuje Żmichowska sielanki rodzinne, kiedy ojciec, niby młodszy braciszek, goni się z małym synkiem po pokoju, przymierza mu kaszkiet, uczy strzelać z floweru, a matka patrzy, cieszy się i podaje młodszą córeczkę lub sama należy do zabawy. Rodzina czy w zamożnym dworze szlacheckim („Poganka“), czy w schludnych pokoikach wielkomiejskiego ślusarza („Książka pamiątek“), czy w ciemnej izbie wiejskiego wyrobnika: w smutku, czy w radości — zawsze jest według niej tą bezpieczną przystanią, w której, po latach tułaczki, zostawia się złamany ster życia, żeby odnaleźć wzamian czerstwą siłę i bodziec wskazań dla nowego jutra.

Bez oparcia społeczeństwa na mocnej więzi rodzinnych ustrojów nie rozumiała Żmichowska ani cnoty, ani postępu, ani wiary w przyszłość. Od wykołysania dziecka w tliwości i pieszczotach domowego środowiska zaczyna się dla niej wychowanie człowieka. Pocałunek matki jest tem błogosławieństwem, które chroni od zasadzki grzechu.

Pełna czułości rodzinnej, uważając, że jedynym talentem, jakim ją samą los najznamiennie obdarzył, był „talent na siostrę“, uważała Żmichowska miłość rodzinną za kamień węgielny wszelkich poczyną. A jakkolwiek nigdy nie występowała w roli urzędowej wychowawczyni narodu, to jednak cała jej działalność była zwrócona w kierunku kształcenia wzrastających pokoleń na dzielnych obywateli kraju, co zresztą najzupełniej uznają współcześni.

Życie jej to jeden długi wysiłek w dźwiganiu omdlałego po trzech powstaniach społeczeństwa; to nie gasnąca

nigdy ani przez chwilę czujność na jego potrzeby, braki, cele i drogi; to poświęcenie i ofiara, do których zdolną być może tylko zahartowana niewola, zbuntowana krzywdą, pędzona wiarą i nadzieją kobieta polska.

Śmieszką, trzpiotem, wesołą z natury była Żmichowska. Wykołysana bajkami prząśniczek, rozpieszczona przez starsze rodzeństwo, w słonecznem swem dzieciństwie i jasnej młodości nie rozumiała, że można rzucić osobiste swoje szczęście ojczyźnie w ofierze.

„Gdybym jedną łzą mojego oka lub jednym westchnieniem kochanej przeze mnie osoby musiała się zaszczytu dobrze czynienia dokupywać, oh, doprawdy anibym pomyślała o tem; choćbym sto lat żyła jeszcze, ani jednej chwili żalu w sercu, ani jednej zgryzoty w sumieniubym nie czuła“ — pisze do brata swego Erazma. A w kilka lat później, zamierzając pokryć całą Polskę siecią ochron i szkół, woła do tegoż Erazma:

„Schodzę nogi, głos w piersiach zużyję... Ale ja gotowa choćby najczystsze, najświętsze jednostki ogółowi poświęcić. Pracować, być użyteczną krajowi wprost na ogół idącym czynem, oh, to już marzenie całego życia mojego!...“

Tak w kraju niewoli ściera się egoizm dusz płomienistych, które czekają tylko najśłabszej iskry, żeby wybuchnąć lawą ognistą najgorętszych bezosobowych ukochań.

Pierwsze zarzewie w sercu Narcyzy rozpałił jej starszy brat, emigrant-wygnaniec, gdy się z nim spotkała na tułaczce we Francyi. Odtąd — aż do końca mozolnego swego życia nie przestała palić się, jak biały kaganek, podsycany ambrawą ofiarną. Południa jej i zmierzchy to były już tylko mądre, trzeźwe przemyślenia, jak podźwignąć naród z tępych odrętwień.

Szedł za niemi czyn, niestrudzony, mężny; szły słowa

nauki; szło mocne wskazanie, że jedyną skalą, podług której należy mierzyć serca i uczynki, jest „prawo i obowiązek“.

Aż do tchu ostatniego nie schodziła ze strażnic swoich. Miejsce jej wśród najbardziej zasłużonych kierowniczek narodu. W wyższym stopniu światła, pomysłowa i rzutka od Hoffmanowej, której była uczennicą, złożyła berło swoje w ręce hetmanek późniejszych: Orzeszkowej i Konopnickiej. A że zajęła naczelne miejsce wśród nich, stało się to nie tylko dzięki wysoce oryginalnemu jej talentowi i niespożytej sile uczuć, ale także dzięki niepokalanej czystości życia, które może być wskaźnikiem i wzorem dla wszystkich pokoleń.

Przeszło w krzywdzie niewoli i buncie trzech powstań (1831 r., 1846 i 1863): polska Golgota, której nakazane było—nie ugiąć się pod krzyżem i nie dać upaść rannym.

Sto razy burzono jej czyn lub zamierzenia czynu; sto razy, jak domki z kart, zwalano rusztowania budowy, którą podejmowała mozolnie; sto razy przystępuje do nowej pracy — bez skargi, bez łez, bo „lży to nikczemność, świadectwo bezsilności, beczynu“, bo „lepsze krwi strumienie, niż jedna ich kropla“.

I tak już ciągle: z tą zaciekłością, z tym niepolskim uporem, który znamionował każdy jej wysiłek.

Najhartowniejsza z kobiet-auterek naszych, święta i czysta w uczuciach, bardzo samotna mimo licznego roduzeństwa i przyjaciół, szczęście swoje osobiste i całą istność swoją służbie ojczystej złożyła w ofierze. A choć przodownicą była narodu, sama siebie uważała jedynie za tłumaczkę i wykonawczynię woli tych płomiennych a miłujących kraj, jak ona, towarzyszy i towarzyszek pracy, których gromadziła dokoła siebie. I w tej pokorze swojej, w tem pomniejszaniu własnej wartości na korzyść najbliższych, ukochanych swoich była wielką. Dostojnością czynu i charakteru swego budziła podziw. Trzeba poznać

jej życie, żeby ją pokochać. Więc pójdźmy w ślad za nią — od kolebki aż do skonu.

Przyszła na świat 4 marca 1819 r. w średnio zamożnym dworku szlacheckim na Podlasiu. najmłodsza z dziewięciorga dzieci. Matka, urodziwszy ją, zdążyła zaledwie pobłogosławić niemowlę, westchnąć: „Boże, chroń to dziecko od złego!” i skonała. Starsze rodzeństwo uczyło małą Narcyzkę czcić i kochać tę świętą kobietę, której obraz w sercu dziecka zarył się zjawą najwyższej doskonałości. Jeżeli jako autorka postawiła na takich wyżynach postanowienie matki, stało się to niewątpliwie skutkiem zasłyszanych od sióstr i braci opowiadań o tej, która tylko jej jednej nie utuliła pieśczętą i nie zdążyła dać na drogę sakramentu swej miłości.

Do lat sześciu wychowywała się Narcyza u stryjenki swojej, serdecznie dobrej kobiety, otaczającej ją jak najtłkliwszą opieką. Ojca, który sam nie mógł zająć się maleństwem, znała bardzo mało. Dowiedziała się tylko później, że był zapalonym wielbicielem Napoleona I i zwolennikiem Wielkiej rewolucyi z końca 18 wieku, tak że na cześć jej dał niektórym dzieciom imiona roślinne, wyjęte z kalendarza jakobińskiego, co było wówczas modą we Francyi. Prócz Narcyzy, której pierwsze imiona były: Józefa Kazimiera, spotykamy pośród starszego jej rodzeństwa: Lilie, Hiacynta, Hortensyę.

W staropolskim dworze stryjenki zetknęła się ze światem, który niezwykle pobudził i rozpałił jej wyobraźnię.

Odbywały się tam wieczory prządek, w czasie których dziedziczka, rozdzieliwszy len biały, sama zasiadała z dziewczkami przy kominie, a mała Narcyzka przy niej bezczynna, bo za drobne jeszcze miała do przędzenia paluszki. Jednak

razem ze wszystkimi czuwała do późnej nocy: tak nic a nic spać jej się nie chciało, tak się zawsze wypraszała od łóżka.

Na dziesięć mil dokoła nigdzie równie pięknych nie opowiadano bajek, a prządki chwaliły się też, że i len nigdzie taki nie był biały, a nitki tak cieniutko z niego skręcone. Sława „wieczorów prządek“ rozchodziła się po całej okolicy, a sześćioletniej Narcyzce zostało po nich wspomnienie najradośniejszych godzin życia. Nigdy już później nie słyszała takich pięknych baśni i takich żalosnych przyśpiewek, nie widziała takich psot i figlów, kończących najstraszniejsze historye o widmach, upiorach i zjawiskach nie z tego świata.

Tym wspomnieniom poświęciła jeden z pierwszych swoich utworów „Prządky”—przybrawszy, jako pisarka, imię „*Gabryeli*“, tak że długi czas tylko pod tym pseudonimem, t. j. podstawioną nazwą, była znana czytelnikom.

Przepadł wkrótce później zwyczaj takiego obcowania wsi i dworu, w duszy Gabryeli zostawił on wszakże ślady niezatarte. Wierzyła, że towarzyskie zbliżenie się najmocniej zacieśnia węzeł sympatyj między chłopem a panem, najskuteczniej wpływa na złagodzenie obyczajów i podźwignięcie z ciemnoty wiejskiego nieuka. Myśl tę wyznawała do końca życia, zawdzięczając ją „kobiecie-aniółowi“, stryjence swojej, której przykład—jak sama stwierdziła — „nauczył ją tej wiary“. W wiele lat później, wracając pamięcią do „wieczorów prządek“, pisze:

„Dziwna rzecz—daleko niesprawiedliwsze były wtedy warunki położenia, a przecież daleko łatwiejszem zbliżenie się dworu z chałupą na czysto ludzkiej drodze. Kuba w sukmanie a Jakób w surducie zasiadali do wspólnej gawędki, radzili o wspólnych interesach, wyświadczali sobie przysługi wzajemne. Dzisiaj słyszę nierzadko o właścicielach ziemskich, którzy wiele czynią dla podniesienia oświaty i dobrobytu włościan, ale o osobistych trwałych i życiem

zaświadczonych przyjaźniach dawno, ach, bardzo dawno nie słyszałam pono“.

W 7-ym roku życia zabiera do siebie Narcyzkę wujenka, u której zastaje starszą swoją siostrę, zapewne Kornelię, o niej bowiem pisze w jednym z listów swoich:

„Odrazu urodziła się z macierzyńską miłością w sercu. Mając lat 9, po całych dniach gotowa była kołysać mnie i bawić; mając lat 14, zawsze sama myła mię, czesała, uczyła literek, opowiadała śliczne powiastki i pieściła — jedyna pieszczota, prawdziwie rozpieszczająca, jaką z dzieciństwa mego pamiętam“.

W ósmym roku idzie na pierwszorzędną pensję Wilczyńskiej w Warszawie i zwraca na siebie uwagę zadeklamowaniem wiersza Goreckiego na temat śmierci jakiegoś zdrajcy ojczyzny.

Pani Wilczyńska, miękka, łagodna, tkliwa kobieta, pełna poświęcenia i ogólnoludzkiej miłości, szczególnie była wrażliwa na przejawy zdolności wśród uczennic swoich. „Czy dostrzegła je w milionowej dziedzicze, czy w córeczce stróża, czy w podrzutku nawet, wnet serce jej tam lgnęło“. Pomagała z całych sił i ponad możność swoją biednym a żadnym wiedzy dziewczętom. „Parę takich wychowanek wprost od opiekunki swojej z błogosławieństwem i wyprawką, jak od rodzonej matki, za mąż poszło“ — pisze w Listach swoich Żmichowska.

Do liczby tych, które zawdzięczały Wilczyńskiej „chleb duszy i ciała, odzież zewnętrzną i umysłowe stroje“, — należała również i autorka nasza, według jej własnego zeznania.

Na pensyi poczyną się trzeźwiejsze, bardziej na zrozumieniu rzeczywistych potrzeb oparte jej życie.

Wykołysana bajkami prąszniczek dziewczynka lubiła w czasie słońc jesiennych lub zimowych zawieść zaryć się w kącik i powtarzać sobie cichutko dziwy o zaczarowanych

królewnach, o królewiczach w lśniących od bezcennych kamieni szatach pozłocistych, o rycerzach z mieczami poświęcanymi i koniach nadobłocznych, o czapkach niewidymkach i przenoszących z miejsca na miejsce pierścieniach.

Oczarowywała ją muzyka. Marzyła o artystach i poetach, którzy kiedyś stają się bohaterami jej powieści. Bardzo młodziutką będąc, improwizuje wiersze na cześć wielkich muzyków, jak: wiolonczelisty Meyera, Ukraińca, i Kosowskiego. Porywa ją wszystko, co piękne, tajemnicze i nieuchwytnie w swej rozlewności.

Rygor szkolny, zaprowadzony przez ówczesnego ministra oświaty Grabowskiego, z natury rzeczy sławia tamę zbyt niemu rozmarzeniu i bujnej wyobraźni dziecka.

Zwracano wtedy szczególniejszą uwagę na pensjach żeńskich, aby nie wychowywano dziewczynek w zanadto wielkiem przeczuleniu. W 1821 r. wyszły wskazówki, według których pensye miały na celu głównie przygotowywanie „troskliwych żon, sumiennych i rządnych gospodyń”. Usiłowano zabezpieczyć uczennice przed rozmarzającym wpływem poezji romantycznej, a więc tych utworów Mickiewicza i innych, które zaczęły pojawiać się już wtedy, a które budziły całe światy wyobraźni: nowe, zaczarowane, przedziwne.

Narcyza, dzięki wielkiej sprężystości umysłu, nie ugięła się pod naporem takich wędzideł i nie wpada w rozpacz beznadziejną. Jest w niej zresztą pewna dwoistość usposobienia, które chroni ją od tego: z jednej strony ogromna trzeźwość w zrozumieniu potrzeb i zadań życiowych, z drugiej—ta polska rozlewność uczuć i polska marzycielskość, która jednak, mimo wszystko, zapewnia przewagę wyobraźni nad suchym, zimnym sądem rozumowym. Zdrowy z natury, silny organizm, wrodzona żywość temperamentu i wesołość utrzymują ją zresztą w równowadze. Miewa jednak niezwykle bujne porywy.

Dorastając, myślące i niezwykle głębokie mimo wrodzonej swej żywości dziecko, powiedziała sobie, że matka, okupiwszy śmiercią jej życie, wydała ją na świat dla spełnienia snadź ważnych jakichś przeznaczeń. Uwierzyła w to tak święcie, że—mając lat 12—postanowiła rzucić pensyę i wziąć udział w powstaniu, które wybuchnęło wtedy.

Zwierza się z zamiarem swoim koleżance. Obie uznały, że należy przekonać się przedewszystkiem, czy podobają zadaniu. Podejmują tedy różne próby, a więc: zaczynają morzyć się głodem, spać na gołej podłodze, dźwigać wielkie kamienie. Siły wszakże odmawiają posłuszeństwa: Narcyza zapada w chorobę; po wyjściu z niej widzi, że za słaba jest, by orężem walczyć za ojczyznę, więc postanawia służyć jej inaczej: pracą swoją, spełnianiem obowiązków, czuwaniem, żeby naród nie zastygł w niewoli.

Dziwnymi mogą wydać się takie myśli w dwunastoletniej zaledwie dziewczynce, Żmichowskiej wszakże niepodobna mierzyć skalą zwykłych ludzi. Rozwinęła się ona nadspodziewanie wcześnie. Mając 6 lat zaledwie, już prowadzi swój pamiętnik, gdzie — prócz wypadków codziennego życia—pomieszcza opisy takich, zdawałoby się, niedostępnych dla dziecięcego umysłu wydarzeń, jak: rewolucya w Petersburgu, wstąpienie na tron cesarza Mikołaja i t. p., ujawniając już pewną rozwagę i porządek w układaniu tych politycznych wiadomości.

Od maleństwa uczy się z zapalem historyi Polski, a gdy w 7-ym roku życia zwiedza wraz z rodzeństwem muzeum starożytności w Puławach, zdumiewa wszystkich bystrem ogarnięciem epok, pod jakie umie podsunąć każdą rzecz widzianą. Dopomina się gwałtownie o podziurawiony od kul pod Somosierrą płaszcz Koziętulskiego, o łańcuch królowej Jadwigi, którym obdarzyła rektora akademii Krakowskiej, i tak zachwyca dziecięcym swoim rozumkiem wszystkich obecnych, że wieść o niej dochodzi do ks. Iza-

beli Czarторыskiej, która ją zaprasza do siebie wraz z rodziną na obiad i obdarza wielkimi względami.

Pamięć, bystrość i niezwykła przenikliwość umysłu towarzyszą jej już do końca życia.

Wzorowa uczennica, kończy pensję w 14 roku życia i przechodzi na dwa lata jeszcze do rządowego instytutu panien, zwanego potocznie „Instytutem guwernantek“, prowadzonego również przez Wilczyńską, a gdzie uczono, jak trzeba uczyć innych. W 16-ym roku już skończyła Narcyza najwyższą uczelnię kobiecą, jaka istniała wówczas.

Ale nawet takie 8-letnie przygotowanie młodej panienki wielkich rzeczy dać nie mogło. Naukę poczytywano wtedy bądź tylko za ozdobę umysłu niewieściego, bądź za narzędzie do osiągnięcia najkonieczniejszych celów praktycznych. Ani historii, ani geografii, ani nauk przyrodniczych nie poznawały uczennice gruntownie. Nawet w Instytucie guwernantek tylko ranne godziny przeznaczano na naukę, popołudnia zaś służyły do ćwiczenia się w talentach.

Braków szkolnych musiała dopełniać Narcyza po wyjściu z uczelni; nie przestała się też uczyć do końca życia, zgłębiając wiedzę gruntownie, nie dlatego, aby popisywać się nią w salonach, ale aby jak najwięcej wiedzieć samej i podzielić się tem z uczennicami swemi.

Powierzchowne wychowanie panien stało się później jedną z najdotkliwszych trosk Żmichowskiej. Piórem, cieniem i żywym słowem usiłowała zwać zapory, tamujące przed kobietą dostęp do wyższych uczelni. Jeżeli dziś na równi z mężczyznami mamy prawo do nauki uniwersyteckiej, zawdzięczamy to w pierwszym rzędzie autorce „Książki pamiątek“. Nie spoczęła ona ani na chwilę, przekonywając opornych, budząc śpiące kobiece umysły.

Dwa lata po wyjściu z Instytutu guwernantek spędza Narcyza wśród rodziny, której miłość nagradza osieroconemu jej sercu nie zaznane nigdy pieśczęty matki. Była bożyszczem rodzeństwa swego. Zawiera śluby dozgonnej przyjaźni z siostrzyczką Lilią przez wymienienie pierścionków, jak to było wówczas w zwyczaju. Podejmuje korespondencyę z braćmi, zwłaszcza z Erazmem, która trwa aż do końca jego życia. Najdroższym ze wszystkich staje się wszakże najmłodszy jej brat, Jan, który zaciągnął się w szeregi powstańców listopadowych 1831 r., a przez to nie zdążył zająć wysoko w naukach. Narcyza podciąga go ku sobie, a że był zdolny i bystry, szybko się zrównali umysłowo. Przybywa jej towarzysz życia, silna dłoń bratnia, dzielny obywatel kraju. Jest z niego dumna, szczyci się nim. Niestety, straciła go wcześniej. Umiera on w 1843 r., a wtedy zdaje się jej, że „wypadł rudel z jej ręki“ i że „niema już na ziemi takiego miejsca, gdzieby być chciała“, a to, co zostało po niej, „to już nie ona,“ to ktoś, przywarty myślą do mogiły młodego powstańca, „ostatniego miejsca, do którego ją ciągnęła tęsknota“.

Jan był dla niej wszystkiem. „On się trudnił całą przyszłością moją; jemu zawsze było na myśli, co ja napiszę, co zrobię, gdzie się obrócę. On był istotą, która mnie najwięcej i najlepiej kochała. Mnie dziś się zdaje, że i taką, którą ja najwięcej kochałam“ — pisze po śmierci jego do Erazma.

*

*

*

Skończyła lat 19, gdy zaszła ważna zmiana w jej życiu. Po długiem poszukiwaniu miejsca nauczycielki prywatnej,—które trudno jej było znaleźć, ponieważ nie posiadała muzyki,—otrzymuje posadę w magnackiej rodzinie Zamojskich i wyjeżdża wraz z całym ich domem do Paryża.

Tu zastaje grupy wychodźców z 1831 r., a przedewszystkiem brata swego Erazma, który ją jeszcze jako dziecko

na rękę piastował. Poprzysiągł on wraz z innymi wszystkie siły swoje obrócić na odzyskanie utraconej ojczyzny.

Żyła ta garstka Polaków w ciągłym napięciu i ciągłym oczekiwaniu takich międzynarodowych przemian w stosunkach politycznych, które koniecznością i siłą wypadków musiałyby zapewnić wyzwolenie Polsce. Zapalna, gorąca natura Erazma, jego wiara w przyszłość własnego narodu wywierają ogromny wpływ na wrażliwy umysł Gabryeli. Obcowanie z nim stanowi początek najświetniejszego okresu jej życia.

Po dwuletnim pobycie u Zamojskich w Paryżu, gdzie pracowała bardzo dużo nad sobą, spędzając długie godziny w bibliotekach i na wykładach uniwersyteckich, przenosi się do brata, który przebywał stale w Rheims.

Pobyt z nim odrodził ją moralnie.

Cierpieli niedostatek. Jedna zupa skromna starczyła im nieraz za cały obiad. Narcyza sama musiała zamiatać, prasować, bieliznę naprawiać, czego nigdy nie robiła, ale sprawiało jej to niewymowną przyjemność. „Trudno mi pojąć, jak można czegoś nie lubić dla tych, których kochamy“ — pisze wówczas.

Wróciła dawna jej żywość, energia, wesołość, wiara w dobre jutro, a przyjechała do Paryża pełna zwątpień, gorzkości i jak najgorszych przeczuć co do losu ojczyzny. Brat Erazm stał się dla niej mistrzem, którego rad, wskazówek, wyjaśnień i haseł słucha bacznie, postanawiając je wypełniać na każdym kroku.

„Ty dałeś mi niebo, ty mi wiarę dałeś!“ — pisze po powrocie do kraju w r. 1839.

Przyjechała do swoich z ustalonym już programem politycznym.

Nie zapisała się do żadnego stronnictwa, gdyż wszędzie było coś, co ją z jednej strony przyciągało, z drugiej — odpychało. „Sama w sobie jestem systemem, stronnictwem“

— pisze do Erazma. Lecz pomna praw dawnej Sparty, która nie uznawała wahań, gdy szło o ojczyznę, która karę śmierci ustanowiła na tych, co nie przystępowali do żadnej grupy narodowej, zrobiła wybór: przystała do „najczynniejszych,” t. j. do tych, co nie gołem słowem lub pobożnem życzeniem zaznaczają dążenia swoje do odbudowania ojczyzny, lecz podejmują twardy mózół rzeczywisty i stają do tej pracy, która wydaje się im najpilniejsza i najdonioślejsza.

Wychowanie narodu, pogłębienie jego duszy, urobienie dorastających pokoleń na prawych obywateli, poważnie i głęboko uświadomionych co do obowiązków względem własnego społeczeństwa, było dla niej tą sprawą konieczną i pilną, której postanowiła oddać niepodzielnie życie swoje, siły, każdą myśl najprzelotniejszą i szczęście swoje osobiste. „Być użyteczną krajowi—nie tym ujemnym nieszkodliwości pożytkiem, ale dodatnim, dotykalmym, wprost na ogół idącym czynem—oh, to już marzenie całego życia mojego, to szczęście tak wielkie, że mu nie śmiem dowie-rzać” — pisze do Erazma.

Podróż powrotna z Rheims, którą przez Księstwo Poznańskie aż do Królestwa odbyła sama, stała się pierwszym młotem, który padł z jej rąk w mury ówczesnych towarzyskich i obyczajowych przykazań.

Nie wolno było kobietom wogóle, a tembardziej młodym pannom, podróżować samotnie: narażało je to na złe języki i wywoływało zgorszenie.

Ze zwykłą stanowczością i odwagą wyzwalała Żmichowska opinię przeciwko sobie i odtąd śmiało szła na przelaj różnym niedorzecznym a krępującym nakazom. Siebie też prawdopodobnie miała na myśli, mówiąc przez usta bohaterki ostatniej swej pracy („Czy to powieść?”):

„Lubiłam walczyć z towarzyskimi przesadami, wyzywając czasem drażnić przyjęte, a według mego sądu nieuspra-

wiedliwione zwyczaje; nigdy się nie cofnęłam przed złym pozorem, przed grozą ludzkiej obmowy“.

Erazm otworzył jej oczy na wiele zagadnień, któremi mało lub wcale nie zajmowała się dotąd. Sprawa chłopska była najważniejszem z nich. Znieść pańszczyznę, z kagan-kiem oświaty wejść między lud—stało się hasłem, któremu aż do śmierci wiernie służyła.

Nie było jej danem, jak niegdyś stryjence, wejść w bezpośrednią ścisłą łączność z ludem. Nie miała przede-wszystkiem domu własnego. W tułaczem jej życiu nie-podobieństwem było gromadzić dokoła siebie wiejską cze-ladkę dla wspólnej pracy i wspólnych rozmów. „Wieczory prządek“ minęły bezpowrotnie, zostawiając w pamięci tylko czar pierwszych poetyckich olśnień, twórczych zachwyty. Na czas jej działalności przypadają zresztą pierwsze groźne obostrzenia ze strony rządu rosyjskiego, który po powsta-niu Listopadowem zamierza zniszczyć, zgnieść, zdusić pol-skość w każdym jej przejawie. Wychodzi rozporządzenie, wzbraniające uczenia dzieci wiejskich, zakładania szkółek, urządzania zbiorowej nauki proletaryatu wielkomiejskiego. Piórem więc już tylko i żywym słowem w kółku najbliż-szych stwierdzać może Żmichowska demokratyczne hasła swoje.

Właściwie, na działaczkę-agitatorkę nie była ona stwo-rzoną. Nie miała w sobie ani daru, ani porywu do wywie-rania wpływów na szerokie masy. „Żeby ją rozumieć i iść z nią lub razem za nią, trzeba było wychowaniem i wyrobieniem być już uprzednio do tego przygotowanym“—pisze o niej we wstępie do „Listów“ jej ich wydawczyni, jedna z Entuzyastek.

Nauczycielska jej działalność miała na celu przeważnie kształcenie dorastających panien. Prace, które zostawiła w tym kierunku, jak: „Wykład nauki elementarnej“ i „Zarys geografii“, zawierały wskazówki dla dorosłych. / Analfabe-

tów starszych z pośród ludu nie uczyła nigdy, choć gdyby jej danem było przystąpić do tego, niewątpliwie wywiązałyby się z zadania bez zarzutu, miała zawsze bowiem „siłę do zrobienia raz chcianej rzeczy i dozniesienia wszystkich jej skutków”—jak sama mówi o sobie w którymś z „Listów” swoich.

Dech zapalanej demokratki wieje z każdego jej utworu, choć jako pisarka należała do arystokratek pióra, nigdy bowiem nie poruszała spraw i zagadnień codziennych, zawsze wybiegała myślą poza granicę powszedniości.

W pamiętniku „Czy to powieść?”, drukowanym już po jej śmierci, spotykamy taki ustęp:

„Pierwszy herb, komuś nadany, był tem samem, czem jest dzisiaj krzyż legii honorowej, którą otrzymał wasz ojciec” — tłumaczy wuj maleńkiemu siostrzeńcowi swemu; — „był nagrodą, poleceniem dla wszystkich, aby dzielnego męża i zacnego obywatela przynależnym otaczali szacunkiem. Gdybyś ty jednak, Józiu, tym krzyżykiem twego ojca chciał błyszczeć przed ludźmi, gdybyś się nim chwalił i pokazywał każdemu i wymagał większych względów za to, że go na pamiątkę odziedziczyłeś, — byłoby to wcale nie pięknie z twojej strony, a byłoby to jeszcze nie piękniej, gdyby który z prawnuków to zrobił”.

Kiedyindziej znowu, charakteryzując stosunki poznańskie, pisze w jednym z „Listów” swoich do przyjaciół: „Na dwa działy, jak wszędzie, rozpada się myśl tutejsza: na ciemność i światło, na zło i dobro, na czarta i Chrystusa, słowem — *na arystokrację i demokrację*”.

Tak ciągle i na każdym kroku zaznacza krańcowy swój demokratyzm, nie uznając żadnych wahań ani połówiczności. Wierzyła w siłę, zdrowie, czerstwość, tężyznę duchową ludu polskiego, który miał odrodzić i wyzwolić ojczyznę; wierzyła, że naród czeka na czynne jego słowo. Za najwybitniejszymi historykami swego czasu — z Szuskim na czele — przypisywała upadek nasz grzechom pol-

skich magnatów: ich pysze, próżności, fałszom ambicyi, pogardzie dla chłopu. I z tego stanowiska nie zesła nigdy.

Po powrocie z Rheims ponosi ją żądza czynu. Pragnie założyć pensyę żeńską w Poznaniu, tam bowiem łatwiej było wówczas kształcić i rozwijać młode pokolenia, niż w Królestwie. W Poznańskim około 1840 r. akcja przeciwpolska zwracała się głównie ku wywłaszczaniu dóbr ziemskich, lecz oświata nie podlegała względnie ujarzmieniu. Wolno było czuć, myśleć, mówić głośno, jak dobry Polak patriota; wolno było publicznie krytykować nawet rozporządzenia rządu. W Królestwie Kongresowem tymczasem każde słowo niebaczone pociągało za sobą śmierć lub wygnanie. Knut siepaczy moskiewskich szaleje. Mimo to budzi się zdeptana narodowość; są ludzie ze stali, którzy nie dadzą się ujarzmić!

W rządzie tych duchów hartownych staje Gabryela.

* * *

Po długim śnie literatury polskiej, której echa dola-
tują tylko z nad Sekwany lub Tybru, gdzie pod wodzą Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego skupiają się najlepsze nasze siły poetyckie, rozbrzmiewa lutnia Żmichowskiej. Ukazują się w „Pierwiosniku“, roczniku, redagowanym przez Paulinę Krakowową, pierwsze jej poezye. W r. 1839 wiersz bez tytułu, oznaczony tylko czterema gwiazdkami, następne — podpisane pseudonimem *Gabryeli*, które odrazu zwracają na siebie uwagę czytelników i krytyki. Poeta Karol Baliński wita ją radosnym podziwem, pytając w wierszu, do niej zwróconym:

„Czyj to głos słyszę po tak długiej ciszy?

Czyj śpiew, tak silny, że do mnie dolata?“.

A ona, zapatrzona w świat poezyi i sztuki, tłumaczy mło-

dej dziewczynie, czem jest „*Szczęście poety*“ *), niezrozumiałe dla reszty ludzi.

Szczęściem poety jest to, że może być wszystkim, co żyje pod niebem i w niebie, bo czuje wszystko. Nie ma dla niego czasu i przestrzeni, bo w jednej godzinie przeżywa całe wieki, a gdy wszystko już mija: kwiaty, maj, słońce, — ma wtedy zakłętę w spokój kamienny wspomnienia. Szczęściem poety jest ta jego wrażliwość, która pozwala mu być kwiatem, orłem i głazem.

W tym pierwszym wierszu Gabryeli zaznaczył się już wyraźnie charakter jej twórczości: styl, język wysoce odrębny, jej tylko właściwy, niezwykle wdzięczny, pełen czaru, a pozatem — unikanie tematów zwykłych, nudnych szarością powszedniego życia. Myśl tej krańcowej demokracji rozwiązywała najpodniosłejsze zagadnienia poezji, sztuki, miłości, stosunku człowieka do Boga i do ideału prawdy, albo też uciekała w świat bajek.

„*Maina i Kościej*“ to podanie o bogu umarłych, który czarownym swoim śpiewem usypiał młode dziewice.

Miała matka trzy córki: Mainę, Krasę, Bogutę. Najwięcej ukochała najstarszą. Ale Maina na ziemskim świecie nie mogła kochać nikogo: chodziła na grób małego brata i tam tylko — w rozpamiętywaniach o śmierci, w nadsluchiwaniu jakiejś dziwnej, niepojętej pieśni, której nikt prócz niej uchwycić nie mógł, było jej dobrze. Próżno matka błagała, żeby weseliła się razem z siostrami: obca im była Maina. Aż nareszcie znaleziono ją raz martwą na grobowym pagórku, a stary kapłan Niklot wytłomaczył, że to jest nie śmierć, lecz sen radosny: sen, wykołyszany śpiewem boga zmarłych, Kościeja, sen, z którego zbudzić ją może tylko ktoś, co pieśnią swoją zagłuszy głos Kościeja.

*) Wiersz drukowany w 1840 r.

Zebrali się młodzieńcy i dziewice pod wodzą Krasy dokoła śpiącej Mainy, zawiedli tańce i pieśni. Śpiewali o krasie ziemi i morza, o skarbach i czarach młodości, o słodkiej miłosnej pieszczocie, która drga bytem nowego jestestwa i jest tą tajemną osnową, co łączy przeszłość z przyszłością.

Spała Maina, obca ziemskim urokom; śpiew Kościeja górował nad złudą doczesnych obietnic. Ale gdy głos podniosła Boguta, starsza siostra Krasy, służbie bogów oddana, gdy zawołała na śpiącą, żeby wstała w imię obowiązku karmić łaknących, poić spragnionych, krew z rannych ocierać, — natenczas poczęła budzić się Maina...

Lecz stary kapłan powstrzymał śpiew Boguty: nie pozwolił w trudy i brud i troski tej ziemi wprowadzać istoty, która już na tamtym świecie żyła; kazał ją zostawić w spokoju, bo „kto ma serce tylko do czucia, do pieśni, ten niech całe życie prześni“...

Posłuszna Niklotowej woli Boguta umilkła i odtąd nikt już nie przerywa snu Mainy.

Następny poemat Gabryeli „*Lilia*“ snuje się też dokoła zaświatowej tęsknoty.

„*Przqdk*“ to ecdzwyyczajów w staropolskim dworze stryjenki, a właściwie opis jednego takiego wieczoru, na którym śpiewano przy furkocie kołowrotek, opowiadało bajki to o królewiczu, który dostał się do nieumierającego świata,—to o ślicznej dziewczynie, córce biednego rybaka, którą uwiózł do zamku swego bogaty książę, a która wyrzuciła precz ojca swego, gdy przyszedł pieszo, stęskniony, i za to ukarana została straszną śmiercią,—to o samotnej sierocie, którą skusił szatan, że wzięła z nim ślub w pustym lesie wśród tańca szkieletów i została potępioną.

Umiłowała bajki nad wszystko Gabryela i gdzie tylko może, pomieszcza je. Mało jest utworów jej, w którychby się nie zabłąkała choć jedna opowieść to o krasnoludkach,

to o zaczarowanych królewnach, wypijających po kropelce krwi z żywych ludzi, żeby jaśnieć krasą ich policzków i blaskiem oczów.

Gdy w nauczycielskiej swej działalności spotyka się z zarzutem, że bajki paczą charakter i wyobraźnię dziecka, broni zapamiętałe świata ptaków cudnie śpiewających, dziewic w szalach słonecznych, na których można przerzucać się tysiące mil w ciągu jednego mgnienia oka, rycerzy w zbrojach złocistych, czarnoksiężników, srogich potworów, jędz bezzębnych: tego *swojego* świata, w którym przeżyła całe dzieciństwo, nie zostawszy ani przesadną i zabobonną, ani łatwowierną, ani też przedrażnioną nerwowo, jak zapewnia sama.

„*Dańko z Jawuru*“ to jedyna jej powieść historyczna. Sięga ona czasów pańszczyzny, kiedy od złej lub dobrej woli, od chwilowego kaprysu pana zależał los niewolnika-chłopa. Dobry magnat wyzwalał włościan, szanując ich godność ludzką; zły — dawał bezgraniczne ujście okrucieństwu swemu, znęcając się nad ofiarą swoją za każdą nie na czas wykonaną robociznę, za każdy po terminie opłacony podatek. Chłop ginął z nędzy, bo sam dla siebie nie miał czasu zorać nawet jednego zagona, a najczęściej, czego nie wybrał dwór daremszczyznami, to szło na podwody, na utrzymanie licznej czeladzi przyjeżdżających do pana gości. Resztę chudoby niszczyły kopyta tatarskich koni lub ogień litewskiej dziczy. Tak działo się za panowania Władysława Łokietka, a i przedtem jeszcze.

W dobie rządów „małego króla“, którego syn Kazimierz, zwany później „Królem kmiotków“, miał wówczas lat 16, żył Dańko z Jawuru i jego ojciec, zwany Sępem z powodu chmurnego zawsze oblicza.

Jakżeż miał się weselić, kiedy głód w chacie doskwierał, a batogi pańskich siepaczy wisały wciąż nad karkiem?

Raz, kiedy nie było co do ust włożyć w chacie, po-

szedł Dańko na poszukiwanie grzybów. Niestety chciało, że spotkał tam Borystawa, syna dziedzica włości Jawuru. Pies młodego panicza napadł na Dańkę, który, broniąc się, zdusił wściekłe zwierzę. Borystawa zapalał wówczas takim gniewem, że zaczął bić niemiłosiernie chłopca, który byłby skonał pod tymi razami, gdyby nagle w obrobie jego nie stanął cudnej urody młodzieniec w stroju myśliwskim. Był to młody królewicz, który uprosił ojca, żeby wykupił Jawur z rąk okrutnego dziedzica, a następnie wyzwolił wszystkich włościan. Dańko, niepomny krzywdy, która mu się działa ze strony byłego dziedzica, staje się później — w czasie najścia Litwinów — wybawcą całej rodziny jego, nie żądając nic wzamian: ani najpiękniejszych pól z włości możnego pana, ani najdzielniejszych rumaków z jego stajni, jeno błogosławieństwa słodkiej pani dziedziczki, która — wbrew okrutnemu mężowi — była opiekunką i pocieszycielką uciśnionych.

Takie proste a wielkie serce biło w chłopskiej piersi Dańka.

* * *

Po pierwszym okresie twórczości, w którym pochłania Gabryelę pytanie, czym jest poezja w życiu, i po drugim, kiedy zajmuje ją nad wszystko sprawa polepszenia doli ludu, — przyszła kolej na zagadnienie wiary zarówno w społeczeństwie, jak i w stosunku do jednostki. Porusza je poetka w utworze: *„Wyjątki z podróży kobiety“*, gdzie dowodzi, że tylko wybrani dostępują łaski wiary czystej, duchowej, udoskonalającej władze umysłu i serca. „Wiara taka zbroi przeciw szyderstwu i prześladowaniu, przeciw mękom i śmierci, daje siłę do stargania tych więzów, które łączą człowieka ze spokojnem, wygodnem życiem, które ze stosunków rodzinnych, z przywyknień serca, upodobań wyobraźni usnuły lekką, lecz trudną do zerwania pajęczynę między nim a poświęceniem.“

Przez usta kobiety w „Wyjątkach z podróży“ mówi o sobie samej:

„Złożyłam ręce i zaczęłam modlić się tą modlitwą czci i uwielbienia, w istność człowieka wsączoną, jak śpiew w piersi ptaszy, jak zapach w listki kwiatów,—tą modlitwą ducha, która nie Bogu o sobie, lecz sobie o Bogu mówi, która, jak wszystkie umysłu zdolności, dana jest człowiekowi dla jego szczęścia i ulepszenia“.

Religią jej był ten dostojny wzlot ducha, w którym ginie przepaść między Bogiem a człowiekiem, w którym treść wewnętrzna wybiega poza doczesność i oczyszcza się z przewin, pokus, mętów tego świata. „Modlitwa jest najpierwszem i najczystsze rozbudzeniem uczucia“—pisze w którymś z „Listów“ swoich. A w jednej z najcięższych chwil życia, — kiedy, uwięziona przez Moskali za udział swój w przygotowaniach do ruchu powstańczego 1846 r., zbierała wszystkie siły, żeby w kamiennem milczeniu przetrwać krzyżowy ogień pytań na śledztwie, — woła do przyjaciółki: „Gdybyś wiedziała, jak ja dziś wierzę potędze modlitwy, tobyś zrozumiała, dlaczego tak błagam o nią“....

Całem sercem kochała Boga, więc bolało ją to, że ludzie tak często tę miłość gwałcą, poniewierają, że używają jej za płaszczyk haniebnych czynów swoich; bolało ją kłamstwo i obłuda w imię najdosłowniejszych prawd religijnych: palenie świec na ołtarzach z jednej strony, z drugiej — grabież i uciemnianie bezbronnych.

Walkę ducha swego z bezbrzeżnym smutkiem, który ją opanował wobec niedoli świata, jego grzechu, nieszczęść, wyraziła w wierszu: „*Czemu mi smutno?*“ — który wyszedł w r. 1845.

Smutno jej, bo w bliżnim kamień widzi, nie serce; bo każdy z nich pędzi ku jakiejś gwieździe, która wydaje mu się piękną, gdyż całą ze złota, a w oczach Boga jest niczem więcej, jak tylko garścią łez, jak krwią i błotem.

Smutno za tymi, co poszli jakąś ciemną drogą i już nie wrócą — nigdy, nigdy...

Smutno jej, ale ma duszę młodą i męzną. Wie, że nie zawsze pogoda na niebie, a cnota na świecie. Przywykła jesienią czekać na wiosenne słońce i nie mierzyć złością ludzką dobrego.

Jest słowo, którego w sercu jej nic nie zaćmiło: *Bóg*. Po wszystkie strony był lot jej myśli, ze wszystkich źródeł czerpała ustami, tłem wszech rzeczy było wszakże zawsze *imię Jego*. Więc spokojna, zdała się na Boga i nie tak już gorzko płacze nad umarłymi.

Ale ciągle jej smutno, ciągle tęskno, boleśnie i chyba tylko Bogu — w sądu godzinę — powie, dlaczego. — Gdyż ludziom mówić nie wolno...

Czemu nie wolno?... Tajemnicę tę odkrywa jedna z przyjaciółek, której — być może — zwierzyła się poetka sama.

Było to w pamiętnym roku 1846, kiedy przez świat szła już blizka zawierucha, a w Polsce — pod mogiłami — słychać było kucie nowych młotów powstańczych. Żmichowska oddała się wówczas bezpodzielnie służbie narodowej. Kilkakrotnie z narażeniem życia przebywa granicę Prus i Austrii, niosąc wiadomości, pomoc, ostrzeżenia. Zbliżywszy się w czasie tych wędrówek do ludu, widzi z przerażeniem coraz większą przepaść między nim a panem.

Winna była uciemiężeń i nierozumnych gwałtów szlachty, ale nie wszyscy. Byli potomkowie Jabłonowskich, Stasziców, Konarskich, którzy nie rozumieli Polski bez wolnego ludu. Chłop wszakże nie uznawał wyjątków i jeden tylko miał wyrok dla głów magnackich: „szubienical“...

Kiedys, zatrzymawszy się na noc w jakiejś karczmie galicyjskiej, słyszy na własne uszy, jak ten chłop, który miał zbawić Polskę, ziejąc czarną, ślepą nienawiścią, krzyczy: „śmierć panom!... szubienical!...“

Gdy się dziwiono, czemu jest smutna, — czyż mogła przejść przez usta jej prawda — w całej swej grozie? — Zamilkła. Na duszę jej, zrozpaczoną śmiercią najukochańszego brata Jana w 1843 r., całą ranami okrytą, zajęście to rzuciło wrażenie wieczne.

Złagodniał z czasem ból czysto osobistych przeżyć, stępiła gorycz dorywczych zawodów, ale wrażenie okrucieństwa chłopów zaryło się w głębi najskrytszych drgnień serca z taką siłą i męką, że smutek jej musiał stać się tajemnicą między nią a Bogiem — wieczną...

* * *

Rok 1846 brzemienno był w wypadki doniosłe dla naszej ojczyzny. Ale i dla historyków literatury przedstawia niemałe znaczenie. „Zostanie on na zawsze pamiętny w dziejach naszej poezji, gdyż jest datą drukowania w Przeglądzie Naukowym poematu, któremu równych pod względem głębokości pomysłu, subtelności analizy (drobiazgowego rozbioru i wnikania w treść zagadnień ludzkich), psychologii (znawstwa duszy) i świetności stylu (języka) niewiele posiadamy. Poematem tym jest „*Poganka*“ — pisze Chmielowski w swoim „Wstępie“ do wydania dzieł Gabryeli.

Treść tego arcydzieła wypełnia zagadnienie miłości i sztuki. Gabryela utrzymywała, że poezja i sztuka: czy to malarstwo, czy rzeźba, czy muzyka, jeżeli jej się kto poświęci, wymaga zupełnego oddania się sobie, wysysa i pochłania bowiem wszystkie myśli, wszystkie uczucia człowieka; uzmysłowiła zaś to doskonale w bajce o młodym rybaku i pięknej księżniczce, opowiedzianej w jednej z rozdziałów „*Poganki*“, a tłumaczącej znaczenie tej dziwnej powieści.

Gdzieś, nad bardzo głębokiem morzem, na wysokiej skale stał zamek, a u stóp jego mała chatka młodego rybaka. Rybak pokochał księżniczkę, która przyrzekła mu

wzajemność. Pewnej nocy wszakże księżniczka umiera. Rybak płakał dwa dni i dwie noce; wreszcie trzeciej uchyliły się drzwi i weszła do niego księżniczka w złocistej sukni, jak ją pochowano, blada, drżąca i spytała rybaka, czy ją kochał za życia naprawdę. Otrzymawszy odpowiedź, że tak, odgarnęła mu włosy z jednej strony głowy i pocałowała go w samą skroń.

Odtąd przez trzy lata przychodziła co noc, składając pocałunek na skroni rybaka, który stawał się coraz bledszy i opadał z sił, aż wreszcie zupełnie z łóżka wstać nie mógł i konał zwolna. Przed samą jego śmiercią ksiądz, który w towarzystwie chłopca przyszedł do niego z olejami świętymi, zobaczył, że nad pościelą jego stała jakaś postać w szacie złocistej, z załamanymi rękami.

Ksiądz się przeżegnał, postać zniknęła, ale rybak już nie wstał. Ciało jego było białe, jak kreda, na prawej skroni tylko miał włosy rozgarnięte i znak drobny, jak od ukłucia maleńkiej szpilki.

Pospieszył ksiądz wystraszony na zamek, wezwał kapelana i wszystkich obecnych. Zstąpili razem do sklepień kościelnych, znaleźli na grobie księżniczki pęknięty ogromny kamień i pozrywane królewskie pieczęcie. Odwalili kamień i ujrzeli w kryształowej trumnie księżniczkę świeżą, jak gdyby snem najrozkoszniejszym zasnęła, a tylko na jej ustach, niby ziarno koralu, maleńka jeszcze kropla krwi świeciła.

Młody rybak to artysta; piękna księżniczka to sztuka, która wysysa zeń życie, żeby jaśnieć blaskiem czarodziejskich natchnień. Ginie w „Pogance“ artysta malarz Cypryan; ginie poeta uczucia, Beniamin, z których krew wyssała poganka Aspazya—poezya życia, kapryśna, samolubna pani, nie licząca się z żadną ofiarą, gdy chodzi o zdobycie silnych, podniecających wrażeń; ona sama—poganka—sztuka trwa.

Mnóstwo jest w „Pogance“ niezwykle scen i opisów, świadczących o zdumiewająco bujnej wyobraźni poetki. Czy przedstawia burzę piorunową i rozhukany galop ludzi, koni, żywiołów; czy wprowadza na salę balową wspaniałego zamku, gdzie, jak na skinienie różdżki czarnoksiężskiej, rozsypuje się niebywały przepych strojów, barw, tańców, pochodów: wszędzie porywa siłą, urokiem, bogactwem obrazów i czarem słowa.

„Poganką“ zamyka Gabryela świat fantazyi, w którym kąpało się jej pióro. W „*Książce Pamiątek*“ schodzi do rzeczywistości. Jest to gorące ukochanie warstw roboczych, braterski stosunek inteligencji ze światem rzemieślniczym i dźwiganie go na wyższy stopień umysłowego rozwoju. Kończy się to wszystko wprawdzie smutnym rozdźwiękiem, ale tylko dlatego, że w grono zacnych, szlachetnych ludzi wpadła zimna egoistka, która—jak Poganka Aspazya—deptała z trzeźwą obojętnością serca ludzkie, żeby je rzucać w ofierze sztuce swego brata, wielkiego artysty, uważając, że talent dla rozwoju swego ma prawo niszczyć szczęście ludzkie. Zbyt późno, bo dopiero zmarnowawszy siebie, brata i dwie zakochane w nim istoty, przekonała się niestety, że tak nie jest, i że, przeciwnie, zdeptana, pogwałcona dla jakichś celów miłość pociąga za sobą najgorsze wyniki.

Coraz mniej pisała już potem Gabryela. Z prac powieściowych wyszły jeszcze tylko trzy większe jej rzeczy: „*Adeodat*“, „*Stary dwór w Świerszczowej*“ i „*Biała Róża*“. Wszystkie te utwory pełne są oburzenia na obłudę i kłamstwa życiowe, na udawanie miłości, chęci ofiary i poświęcenia, na zachowywanie pozorów religijności i cnoty, gdy w gruncie rzeczy chodzi ludziom tylko o swój własny interes, o bogacenie się kosztem bliźniego, o szukanie kariery, o bodajby drogą podstępny, oszustwa, chytrych podejść i deptania słabszych od siebie.

Bolał Gabryelę grzech i występki ludzkie, ale nie

poddawała się nigdy zwątpieniu. „Jeden dobry za stu złych nagrodzi“ — było jej hasłem, które uwieczniła w wierszu „*Do moich dziewczynek*“.

Dziewczynkom tym, które biegną w świat czegoś szukać: może kwiatków, może cacek, może tęczowych blaszków złudy, mówi, że najpiękniejszym ze wszystkiego na świecie jest dobry uczynek, a najgorszym — wyrzut sumienia, zaś największem szczęściem — szczęście ludu całego: ze słowem Bożem chleb dla każdego, z pracą wszystkich — wszystkich zbawienie.

Może nie usłyszały, może nie rozumiały tych nauk dziewczynki? — Bo gnało je w świat: pędziły, nie oglądając się na nic i na nikogo, wierząc w to mocno, że życie, jak dobry płatnik, musi oddać im olbrzymi procent ze skarbów świata.

Ale — wiedziała Gabryela, że kiedyś, jak tęcza po burzy, odbiją się one w ich sercach łagodnem przypomnieniem, niosąc spokój, otuchę, pocieszenie.

* * *

Nie tyle wszakże poezją danem jej było oddziaływać na otoczenie swoje i całe społeczeństwo, ile wpływem osobistym.

We wstępie do „Poganki“ jest obraz, w którym poznajemy całą grupę ludzi: uczonych i prostych duchem, ale silnych tchnieniem poezji, które owiało ich już od kolebki, artystów i społeczników, roztrzepańców i surowych myślicieli — kobiety i mężczyzn. Było to grono zapaleńców, nazwanych w życiu prawdziwem „Entuzyastami i Entuzyastkami“ od tych iskier, które wybuchały w nich, gdy chodziło o sprawy narodowe lub społeczne, o wielkie zadania do spełnienia, wielkie zamiary do przemyślenia. Zbiegali się oni w redakcyi „Przeglądu Naukowego“, założonego przez Edwarda Dembowskiego, i prowadzili długie, namiętne rozprawy „przy kóminowym ogniu“, za którym

tak przepadała Żmichowska, że w powieściach jej staje się on niby duszą, wlewającą czary natchnień, ciepło uczuć, rozkosz marzeń w serca i umysły ludzkie.

Myśl jej samej była jak te iskry, które tryskały na kominku, przerzucając się z polana na polano: szybkie, bystre, płomienne, jasne i czyste.

Powoli zebrania przy kominkowym ogniu objęły najlepszych, najmądrzejszych ludzi i najwybitniejszych działaczy z całej ówczesnej Polski Kongresowej. Zjawiali się na nich często przybysze i z pod innych zaborów. Padały gromkie wskaźniki, ryjąc ślad wyraźny za sobą. Treść rozmów obracała się dokoła udoskonalenia ludzkości, tworzenia drogi postępu, wiedzy, czystych ukochań. Stosunek człowieka i przyrody do Boga, zbawienie dusz ludzkich, miłość, jako drogowskaz wszystkich poczynañ i wszystkich pomysłań, stanowiły nieustające, po stokroć podejmowane i nigdy niewyczerpane jądra rozpraw.

Do zagadnień, których echa najszybciej i najdonioślej przedostawały się na zewnątrz, należały: sprawa chłopska i sprawa kobieca.

Troska o poprawienie doli ludu i podniesienie oświaty jego była najgłębszą, rysowała się najpoważniej. Nie mniej wszakże doniośle rozbrzmiewały hasła otworzenia na ścieżaj wrót wiedzy przed kobietą, wywalczenia dla niej większej swobody i niezależności, dopuszczenia jej do różnych warstwatów pracy, która dotąd tylko w zakresie nauczycielstwa była dla niej dostępna. Zmiana niektórych przepisów prawnych, regulujących stosunki między małżonkami, ułatwienie rozwodów, zapewnienie mężatkom swobody w rozporządzaniu własnym majątkiem—stanowiły również konieczne żądania. Oburzały się Entuzyastki na przymus małżeński, dotąd bowiem wydawano za mąż córki nie pytając ich, czy kochają lub nie, ludzi, z którymi miały przejść przez życie.

Posag panny, stanowisko młodego człowieka rozstrzygały o wszystkim. Nie znosili Entuzyaści i Entuzyastki towarzyskiej obłudy, ukrywającej płytkość serc i umysłów. Wypowiadali jej walkę. Wymagano prawdy i szczerości uczuć, odwagi w czynach, skromności w ubiorze. Gładka, obcisła suknia była zwyczajnym strojem Entuzyastek; w lecie używały tylko perkalików bez żadnych ozdób.

Niektóre z nich doszły do przesady: zaczęły sobie obcinać włosy króciutko, żeby nie trefić ich przed lustrem, a — co za tem poszło — i nosić się nieco po męsku, palić cygara i fajki.

Zaszkodziły sobie tem bardzo i popsuły sprawę. Często oburzać się na nie i potępiać je; mieszano je z t. zw. „Lwicami“ i „Emancypantkami“, które znalazły się wówczas równocześnie w społeczeństwie naszym. Na czele „Lwic“, palących również cygara i fajki, żądających tak samo większej swobody dla kobiet, stała pewna cudzoziemka. Gdy Lwice wszakże nie znały innego celu życia poza szukaniem zabaw, strojów, uciech własnych, szumnych kolacyi z szampanem, Entuzyastki — mimo krzyczących pozorów — stały zawsze na straży najdosłojniejszych cnót obywatelskich, były same ich wzorem i wielka szkoda, że niektóre z nich zbyt głośno i niewłaściwie przejawiały prawa swoje do swobody.

Uznawała to sama Żmichowska, pisząc w którymś z „Listów“ swoich, że „grzechem ich (Entuzyastek) była potrzeba wyróżniania się od drugih, przechodząca czasami w zaczepną dziwaczność“.

„Emancypantki“, t. j. kobiety, które wyzwalały się z różnych ciążących na nich zakazów, jak np. nie tylko podróżowania, lecz i chodzenia samym po ulicach, zawierania związków małżeńskich tylko dla karyery i t. p. — stały niżej od Entuzyastek pod względem naukowym, ale dorównywały im czystością obyczajów. Paliły również cy-

gara i fajki, lubiły popisywać się konną jazdą, nie robiły jednak w gruncie rzeczy nic zdrożnego.

Zarówno Entuzyastki, jak Emancypantki i Lwice nazywano w społeczeństwie ówczesnem „komunistkami“, co było wysoce ubliżające, znaczyło bowiem, jakoby nie liczyły się z żadnymi względami obyczajowymi, lekcewały prawo kościelne i cywilne, uważały wszystkich mężczyzn za wspólną własność i t. p.

Czuły Entuzyastki krzywdę, jaka im się działa, wydrwiano je, szykanowano, ośmieszano, karykaturowano w świsłkach humorystycznych.

A był to czas, kiedy w pewnych sferach t. zw. „wyższego towarzystwa“ uważano za waryactwo zajmowanie się kobiety czemkolwiek innem poza pracą domową. Do zupełnie prawdziwych wydarzeń, zapisanych przez przyjaciółkę Żmichowskiej, należy naprzykład fakt, że pewna obywatelka rozповідаła w najlepszej wierze o Kazimierze Ziemięckiej, jednej z Entuzyastek, iż dostała pomieszczenia zmysłów, założyła bowiem na wsi u siebie szkołkę i po całych dniach z dziećmiakami sylabizuje albo po chałupach się włóczy i chorym babom lekarstwa roznosi.

Nikt z obecnych nie ujął się za potępioną dziwaczką: zgodnym chórem wyklęto ją i jej podobne „waryatki — komunistki“.

Długi czas nie odpowiadały Entuzyastki na zaczepki zupełnie, ale wkońcu wystąpiły w obronie swojej. Wkrótce zresztą społeczeństwo przekonało się samo, że były to najczystsze, najszlachetniejsze dusze, które młodość tylko i bujne usposobienia rwały w kierunku różnych pozornych a krzyżących niedorzeczności.

*

*

*

Przyszły chwile ważne.

Po wybuchu powstania Listopadowego ogarnęła spo-

łeczeństwo jakaś szara, beznadziejna bierność. Kurczyli się ludzie; malały porywy; szła wielkim krokiem groza poddańczego lenistwa ducha, które mogło zgubić Polskę.

W takiej godzinie trzeba było stanąć na straży, obudzić śpiących, przypomnieć hasła Kościuszki, Prądyńskich, Mochneckich, wziąć w ręce ster działania.

Podjęli to brzemie ludzie z przed „kominkowego ognia”. Na nich padło rozpalenie znicza narodowego buntu, żeby nie wygasła myśl o wyzwoleniu Polski, nie zamarała żądza oswobodzenia ojczyzny kosztem najskrajniejszych ofiar. Dźwigać opieszałych, kształcić ich na świadomych celów i zadań swoich obywateli, urabiać ich dusze, wzmacniać charaktery — to stało się najpilniejszym obowiązkiem Entuzyastów i Entuzyastek, między którymi — na owych sejmikach małej rzeczypospolitej, jak nazywano zebrania w Przeglądzie Naukowym — łaskę marszałkowską trzymała Żmichowska.

Miała ona niezwykły dar nawiązywania i ożywiania rozpraw. Mówiła zwięźle, jasno, często nawet poetycznie, a zawsze mądrze, szczerze, podniosłe, z gorącym ukochaniem sprawy narodowej, w najgłębszem poszanowaniu praw moralnych i dźwiganiu na wyżyny sztandarów miłości rodzinnej.

Zbliża się rok 1846. W Polsce coraz groźniej i chmurniej. Policya moskiewska szaleje, dziesiątkując wszystkich, na których pada bodaj cień podejrzenia.

Przerzedza się towarzystwo przy kominkowym ogniu. Sfora szpiegów, rozpuszczona po Warszawie przez Paskiewicza, tropiąc spiski, rozbiła grono Entuzyastów. A należeli do niego prócz Żmichowskiej: Edward i Aniela Dembowscy, Hipolit i Anna Skimborowiczowie, Jan Majorkiewicz, Dominik Szulc, Henryk Kamiński, Karol Baliński, Antonina Grotthusowa, siostra Skimborowiczowej, Emilia Gosselin, Józefa Kucharska, Julia Janiszewska, Krystyna Siewielińska, późniejsza Stelmowska, Kazimiera Ziemięcka,

bratowa uczonej Eleonory Ziemięckiej, Wincenta Zabłocka, Zofia Mielecka-Węgierska, Bibiana Moraczewska.

Wszyscy oni spalali się w ogniu ofiarnej miłości dla ojczyzny; wszyscy byli jak owi strażnicy białych świątyń, którzy postanawiali raczej zginąć wraz z niemi, aniżeli oddać je wrogowi. To też na nich przedewszystkiem padła ręka moskiewskich siepaczy. „Co było głów lepszych, serc poczciwszych, to wszystko dziś za murami cytadeli jęczy albo śpieszną ocalone ucieczką, poza krajem zwichnięte, nieużyteczne dla kraju pędzić musi życie“ — pisze Żmichowska w liście do Erazma z dnia 4 października 1843 r.

Mimo to powstają coraz nowe spiski, szerzą się tajne stowarzyszenia i związki. Żmichowska w zasadzie jest im przeciwna, twierdzi, że nie są w charakterze polskiego narodu, bo „zbyt wiele otwartości, wylania zostało nam się w spuściznie po przodkach, którzy źle czy dobrze, ale przynajmniej śmiało przy świetle dziennem działali. Wierzy tylko w wychowanie narodu z jednej strony, a w prawdziwie chrześcijańską dobroczynność z drugiej. Postanawia więc już jedynie i nieodwołalnie oddać się kształceniu, urabianiu, hartowaniu dusz polskich i wytrwaniu przy ołtarzach oświatowych aż do śmierci.

Projekt pensyi w Poznaniu, podnoszony dwukrotnie, raz w r. 1843, potem w 1846, upadł ostatecznie: głównie dla braku funduszków, a prócz tego ze względu na podejrzenia, jakie rozległym swym programem budził wśród władz rosyjskich i niemieckich. Zarówno w Poznańskim, jak i Kongresówce przetrząsano papiery Żmichowskiej różnymi czasy, szukając go; jako nie drukowany nigdy, nie mógł być wszakże znaleziony.

Zawiedziona w tym kierunku, zwraca się Gabriela do innej roboty i podejmuje zamiar pokrycia całego kraju siecią szkół ochronnych, a jednocześnie zaczyna zbierać skład-

ki na zesłanych w głąb Syberyi działaczy, cierpiących głód i nędzę niewypowiedzianą.

„Schodzę nogi, głos w piersiach zużyję, a jeśli i to jeszcze napróżno, będę mogła przynajmniej bez grzechu założyć ręce i samemu Bogu na ostatecznym powiedzieć sędzie: „Tyś tego nie chciał“...

I tym razem wszakże nie była w stanie przeprowadzić zadań swoich: składki napływały opieszale; społeczeństwo nie wysłuchało jej odezwy, a z drugiej szła już wielkim krokiem burza rewolucyjna, zwalająca — niby domki z kart — wszelkie pokojowe zamierzenia i prace.

Mimo wstrętu do spisków i mimo głębokiego przeświadczenia, że nie czas jeszcze — po świeżych listopadowych przeżyciach — na nowe powstanie, Żmichowska przyłącza się do ruchu, którego nie jest w stanie powstrzymać czujność policyi.

Hasła narodowe łączyły się w tych dniach przełomowych bezpodzielnie z hasłami praw człowieka do wolności społecznej. Przywódcy buntu przeciw niewoli ojczyzny byli zarazem orędownikami wyzwolenia ludu z pod pręgierza pańszczyzny. Na czele ruchu stali: ks. Ściegienny, Edward Dembowski, Henryk Kamieński, Karpiński, Bieliński, Stefański i inni.

Najbliższym Żmichowskiej był młody kasztelanik Edward Dembowski, redaktor i wydawca Przeglądu Naukowego. Nazywa go „dzieckiem z błękitnymi oczami, z ślepem niedoświadczeniem a żądzą płomienną — odważnem, jak lew“. W „Pogance“ przedstawiony jest jako Henryk „zapalenić“, który żył prędko, chciwie, gwałtownie, jak gdyby najmłodszemu z grona sejmujących przy kominkowym ogniu „najwcześniej miała wybić ostatnia godzina“.

Przepowiedziała mu ten szybki koniec poetka. W 24 roku życia został rozstrzelany na Podgórzu pod Krakowem w czasie procesyi manifestacyjnej, zaatakowanej przez Au-

stryaków. Ale długi czas nie wierzono w jego śmierć. Stał się legendową postacią. Dawno już zarosła trawą mogiła jego na cmentarzu podgórskim, a jeszcze go tropiła policja trzech zaborów, jak za życia, kiedy rozsyłano za nim listy gończe, wyznaczając po 1000 zł. nagrody za jego głowę. Coraz to bowiem mylił ślady za sobą, przechodząc bądź w przebraniu chłopskiem granicę Księstwa Poznańskiego, bądź jako lokaj dostając się do domu któregoś z wyższych urzędników we Lwowie, bądź wreszcie jako Żyd handlarz roznosząc ukryte w towarze proklamacye. Zdumiewał ruchliwością i energią swoją. Był wszędzie. Poszukiwany, znikał w oczach sfor gończych, aby minąć granicę i nigdy nie dać się schwytać. Nie dziw więc, że urosły o nim podania i że nie uwierzono w śmierć jego.

Żmichowska, jak on, oddawszy się cała służbie narodowej, zostaje wysłanniczką spiskowców. Kilkakrotnie przebywa granicę Prus i Austrii, wioząc ważne zlecenia. I wtedy—o czem było już powyżej—spotyka się z piekłem nienawiści chłopów ku szlachcie, podsycanej przez rząd austriacki, który nie szczędził kroci na armie szpiegów i sprz dawców wśród ludu polskiego.

Głębokim i „wiecznym“ smutkiem biło to w piersi Żmichowskiej, tej wielkiej orędowniczki włościan, smutkiem - tajemnicą, którą tylko Bogu na sądzie ostatecznym wyznać mogła.

W r. 1849 została uwięziona w celi klasztornej OO. Bazylianów w Lublinie.

Z grona Entuzyastek i Entuzyastów, zbierających się przy kominkowym ogniu, niewiele już pozostało. Jedni schli w cytadelach, inni marzli na wygnaniu. Jednak ci, co byli jeszcze na wolności, tak umieli zmylić czujność straży więziennej i policji, że znaleźli drogi, któremi mogli posyłać listy do Żmichowskiej i odbierać je od niej nawzajem.

Na śledztwach ówczesnych zdarzały się niejednokrotnie smutne wypadki mimowolnej zdrady. I tak np. przez podejście rosyjskiego żandarma wydał ks. Ściegienny w dobrodusznej łatwowierności rzeczy, które pomściły się na nim i jego towarzyszach. Chcąc uniknąć podobnej zasadzki, Żmichowska postanowiła milczeć jak grób, nie odpowiadać zupełnie na pytania.

Piśmiennie więc tylko złożyła zeznania swoje, w których broni praw „świętej“ Polski i oburza się na postępowanie rządu względem niej. „Napisałam, co myślę. Teraz ofiarujcie mnie Panu Bogu i powiedzcie sobie: „Adiu, Narcyzko!“—zwierza się w jednym z listów więziennych. A potem dodaje:

„Słowo przysięgi świętem jest—niech mnie, jak chcą, biją, ja pomimo tego będę miała osobistą wdzięczność dla Jołszyna *), że pierwszy zrozumiał, iż mojej przysięgi nie cofnę. Zresztą, może tak źle nie będzie; wy przecież módlcie się za mnie“.

Sprawę swoją własną uważała jako sprawę Polski „naprzeciw Rosyi stawianą“ i postanowiła być taką, jaką chciała, żeby Polska była, t. j. „cierpliwą, miłą, cichą, a jednak odważną w prawdziwości swojej“.

„Podczas śledztwa“—pisze—„to tak się zdarzało: nim przyszło, miałam takie ściśnięcie serca, że aż wymyślałam sobie: czy ty tchórz, Narcyzko? — jak tylko weszli, inny duch wstępował we mnie—taka jasność—taka spokojność—że musiałam w tem łaskę Bożą uznać. Kilka razy przychodziły mi na koniec języka złośliwe odpowiedzi—a wiecie, czemu je zatrzymałam?—oto, bo mi się przypomniała ta zasada jednego towianisty: że gdy nasz duch z duchem wroga walczy, to powinien zawsze starać się dobre, a nie złe uczucia w nim rozbudzać. Wywołując rozrzewnienie

*) Żandarm, który prowadził śledztwo.

lub poszanowanie, pewniej się go osłabia, jak wywołując gniew i zaciekość. Jest to prawdziwie chrześcijańskie zdanie i dlatego się go trzymałam“.

Aby ocalić przyjaciół swoich, zwłaszcza Annę Skimborowiczową, osadzoną w więzieniu na dwa lata przed nią, złożyła piśmienne zeznania, w których całą rzekomą przewinę polityczną wzięła na siebie.

Wytrwała na drodze, z której zeszedł niejeden silniejszy od niej fizycznie i w konspiracji zahartowany towarzysz pracy.

Co się stało ze złożonym na ręce Jołszyna dokumentem, który mógł ją zgubić? — Niewiadomo. Wogóle cały ten okres życia Żmichowskiej mało jest znany. Nie wolno było pisać wówczas o więzieniach, zesłaniach i spiskach. Jeszcze w r. 1885, we Wstępie swoim do wydania dzieł Gabryeli, Chmielowski, chcąc zaznaczyć, że została uwięziona, wspomina tylko krótko: „Żmichowska w końcu października 1849 r. przeniosła się do Lublina“. Kropki jedynie miały dać pole domyślności czytelnika. Kto nie wiedział o ważnym tym etapie w życiu poetki, nie byłby go się domyślił.

Żmichowska prosiła przyjaciół, aby nie robili żadnych starań o jej uwolnienie, zaprzestali wydatków i niepokoju. Wielka rezygnacya i wielka moc wytrwania bije z jej listów. „Cicha, miłująca i odważna“, postępowaniem swoim w więzieniu zdołała obudzić taki szacunek dla siebie, że gdy zapadła na zdrowiu—mimo obciążających ją zeznań—została uwolniona z więzienia z tem zastrzeżeniem tylko, aby nie oddalała się z miejsca pobytu, t. j. z Lublina, gdzie pozwolono jej zamieszkać u rodziny.

Na swobodzie czekały ją ciężkie chwile. Spotkała się przedewszystkiem z przejawami takiej małodusznej, przyziemnej tchórzliwości, że zadrżała w sobie ze wstrętu i przerażenia. Bano się podawać jej rękę, aby nie padło po-

sądzenie o jakie bliższe z nią stosunki. Poza rodziną jej mieli ludzie jeden tylko wyraz „bezrozumu“ dla wszelkich poczynañ, nie związanych z materyalnemi potrzebami człowieka.

Zapada więc Żmichowska w smutek głęboki. Jedyną jej myślą staje się: złożyć siebie w ofierze społeczeństwu, umrzeć za ojczyznę i śmiercią swoją uratować tych potrzebniejszych od niej, którzy może zdołają wykrzesać iskry patryotycznego zapału w narodzie.

Nie umarła wszakże. Przeznaczonem jej było jeszcze dłuższe lata palić się powolnym, ale ciągłym ogniem ofiarnym na ołtarzach ojczyzny. „Znika z przed oczów naszych autorka i nauczycielka, a staje wobec społeczeństwa kobieta z całym hartem duszy, całą dzielnością charakteru: kobieta-obywatelka w podniosłem znaczeniu tego wyrazu“— pisze o niej w czasie więziennym Chmielowski.

Taką była nie tylko wtedy, ale zawsze już i aż do śmierci.

Po uwolnieniu z więzienia miała lat 30. Za mąż nie wyszła i—zdaje się—nie kochała nigdy miłością wzajemną.

W ostatnich czasach rozpowszechnia się przekonanie, że miłość jej zabrał z sobą do grobu Edward Dembowski, ale niema na to najmniejszego dowodu. Ani w poufnych rozmowach z najbliższymi swoimi, ani w żadnym liście nie zdradziła się z tem. Nazywając go „dzieckiem“ z błękitnemi oczami, traktowała go wraz z żoną jak dwoje zapalonych dzieciaków, którym wiele wybaczyć należało ze względu na ich serca płomienne.

Korespondencya jej z Dembowskim uległa zniszczeniu, na tem tle więc mogły snuć się domysły.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, serce Żmichowskiej nie biło namiętnością dla nikogo. Była bardzo kochaną, lecz bez wzajemności. Starał się o nią znany później zaszczytnie astronom Jan Baranowski, którego bar-

dzo cenila i szanowała, ale — nic więcej, bez miłości zaś za mąż wyjść nie chciała.

Są wszakże w „Listach“ jej ślady tęsknoty za jakimś jednym silniejszym uczuciem. „Obyś chociaż na 24 godzin, chociaż na jedną godzinę oszalała z miłości“ — pisze do którejś przyjaciółki w 1866 r. „Ty mię zawsze najwięcej w autorstwie mojem cenisz, a ja ci powiem, że i taką lichą autorkąbym nie była, gdyby mi się czasem do wyłączniejszego, szalonego uczucia serce nie zrywało, jak ptak do wschodzącego słońca. Ale moje serce na błyskawicach musiało poprzestać, bom się urodziła nieładną, a nawet w pewnych chwilach brzydką, niesympatyczną, niedosyć pociągającą zmysłowo. W całym ciągu mojego życia nie byłam ani na 24 godzin, ani na jedną godzinę nawet wzajemną miłością kochana; dlatego już dzisiaj nic napisać nie mogę, bo mi na każdym kroku w pewnych danych deficyt. Całe szeregi, całe kategorie są dla mnie niezrozumiałościami — mogę o nich tylko z wierzchu, nie ze środka mówić“.

Co do owej domniemanej brzydoty, przyjaciółki Żmichowskiej dowodzą, że przypisywała ją sobie niesłusznie. Ładną nie była, ale miała twarz i całą postać wysoce charakterystyczną. Biła od niej cicha, zniewalająca powaga i wzniosłość, które wykazywały od pierwszego rzutu oka niezwykłą jednostkę. W chwilach zapału wydawała się nawet piękną: tak wyraziście i jasno patrzyły jej oczy, jak gdyby jasny jakiś promień zstępował do duszy wraz z tem spojrzeniem.

*

*

*

W latach powięziennych kończy się właściwie twórczość Gabrieli. Zamieszkawszy u siostry, ściśle ograniczona miejscem pobytu, a zmuszona przytem do zarobkowania, poświęca się wyłącznie prawie nauczycielstwu. Nie miano

odwagi powierzyć jej dorosłych, żeby nie przewracała im w głowach patryotycznemi hasłami, uczyła więc tylko małe dzieci, a jak na złość, dostały jej się takie tępe i zakute, że, aby z nich co wykrzesać, musiała zużywać niezmiernie wiele cierpliwości i dobrej woli. Jak zawsze wszakże, tak i tym razem wytrwała na stanowisku, spełniając obowiązki swoje aż do takiego wyczerpania, że o pisaniu mowy być nie mogło.

Czy nie było jej żal przerwanej twórczości? W tym czasie zwierza się jednej z przyjaciółek. „Zaczyna mi się coś o pisaniu roić; może to Lucyperek chce mnie do sylabizowania z dziećmi zniechęcić—lecz ja się mężnie opieram i pokonywam przeciwnika. Jeśli Pan zechce, żebym się drukowanym papierem z ludźmi rozmawiała, to mi da ku temu sposobność, to mi na przykład sen wieczorny odejmie; a jeśli nie chce, to spokojnie przy tem, co mam dzisiaj, pozostanę“.

Żmichowska nie była stworzona do nocnego czuwania; „dzielność umysłowa usypiała wraz z naturą i budziła się z nią“—pisze o niej jedna z przyjaciółek, a ona sama mówi o sobie:

„O ile mojej porcyi nie dośpię, zdaje mi się wtedy, że mózg pomiędzy oczami słupem mi kamienieje i że świat całutki kręci się ze mną. W tem potępieńczem usposobieniu leży walna przyczyna mego rozbratu z autorstwem: gdybym mogła w nocy pisywać, tobym próbowała jeszcze, ale w nocy nie mogę, a w dzień też niepodobna“.

Do pisania potrzebowała zupełnej ciszy i spokoju. Każda jej praca była głęboko, długo i poważnie obmyślana. Nie umiała tworzyć pośpiesznie. Sięgała do najnieдоступniejszych pokładów własnej i cudzej duszy. Roztrząsała najdonioślejsze zagadnienia celu świata, stosunku człowieka do Boga i przyrody, szukała źródeł złego, podnosiła znaczenie cnoty.

Nie można było myśleć o tych rzeczach w przerwie między jednym zajęciem a drugim. Przytem Żmichowska nie umiała robić dwóch rzeczy naraz. Sama pisze o sobie: „Bóg mnie takim organizmem za przeszłe widać grzechy skarał, że jak się czemś zajmę, to muszę być tem wyłącznie zajęta. Gdybym miała na zawołanie cichość dokoła siebie, byłabym w młodości daleko więcej napisała. Tymczasem—wierzcie mi—przy bardzo wielkich zabiegach i rzeczywistych wysileniach nawet, w całym czterdziestoletnim życiu mojem ledwo tyle pokradłam uciszenia, ile na cztery nędzne tomiki wystarczyło, bo zwykle brakło mi go i do pisanja listów“.

Trudno jej było wszakże rozstać się z tworzeniem, które dla poetów jest jak powietrze, woda, światło.

„Ksiądz Szymon radził mi, żebym znowu do pisanja się wzięła“—czytamy w liście jej do jednej z przyjaciółek. —„Ledwo mu się w oczy nie roześmiałam. Dzień św. Szczepana blizki. Oh, gdyby choć na chwilę przed śmiercią, choć pod uderzeniem kamienia mieć tak piękne, jak on miał, widzenie!“

Na twardy zawód nauczycielki skazana, musiała pożegnać sny swoje poetyczne. Wychowanie młodego pokolenia staje się wyłącznym celem jej działalności.

Zamierza w tym czasie otworzyć pensjonat bodaj tylko dla pięciu sierot-chłopców, „bo tych więcej brak, niż dziewcząt“, aby kształcić ich od początku, t. j. od samej nauki sylabizowania, aż do końca młodzieńczych studyów uniwersyteckich. Tych pięciu chłopców miało być rozsądnikami idei wskrzeszenia Polski przez własną pracę i wolę usilną.

Po roku 1848 zniknęła nadzieja pomocy od Europy. „Nikt nam Polski nie daruje, a wśród nas niema komu na Polskę zasłużyć i zarobić. My więc pracujemy, żeby znalazło się choć pięć dusz czystych przed obliczem Pańskim

na okup potępionej Sodomy"—pisze w jednym z „Listów“ swoich Żmichowska.

Ostatni jej projekt rozbił się o brak funduszków.

Ale po wyjściu z więzienia ponosi ją żądza czynu. Radaby działać bez zwłoki, stworzyć jakieś wielkie, wybitne dzieło.

Zwraca więc baczną uwagę na zadania, cele i znaczenie rodziny. Żąda, by zrobić z niej dźwignię wychowania narodowego. Za warunek stawia kojarzenie małżeństw nie tylko na podstawie wzajemnej miłości, ale i — co najważniejsze — na podstawie wzajemnego zrozumienia się i dokładnej świadomości wspólnych obowiązków.

Gorące ukochanie ojczyzny powinno łączyć małżonków przedewszystkiem; wszelkim sprawom życia powinien być nadany kierunek narodowy: to dopiero wytworzy środowisko, w którym od zarania życia młodzież poczuje w sobie polskość i powołanie na dobrych obywateli kraju.

Wypiełęgowane na takim krzepkim pniu uczucie narodowe oprze się zasadzce zgubnych wpływów i zwycięży wszelką przemoc.

Śród własnej rodziny w pierwszym rzędzie znajduje Żmichowska zastosowanie zasad swoich, a szerzy je następnie coraz dalej i coraz usilniej. Hasła zakreślają coraz większe kręgi, znajdując posłuch i uznanie.

Ślady jej wychowawczej działalności z tej doby pozostały w dwóch pracach: *„Część elementarna wykładu nauk, przeznaczona do pomocy w domowem wychowaniu“*, pierwsza samodzielna książka u nas, wskazująca, jak należy budzić myśl dziecka—i *„Geografia“*.

Pracowała nad nią Żmichowska jeszcze przed uwięzieniem swoim, ale papiery, wzięte przy rewizyi, zginęły bez śladu, zabrała się więc do roboty na nowo i książka opuściła prasę w r. 1857.

Nawet i w tej naukowej pracy nie omieszkała Żmi-

chowska na miejsce naczelne wysunąć celów i zadań wychowawczych. Opierając poznanie ziemi na tle historycznym, dobierała sylwetki wielkich ludzi tak, aby świeciły młodzieży polskiej wzorem silnych charakterów i stwierdzały hasło, że jedyną skalą czynów ludzkich powinna być skala prawa i obowiązku.

Po ogłoszeniu „Wykładu nauk” postanowiła Żmichowska praktycznie wypróbować własną metodę. Osiada więc na wsi w Rzeczyicy i zostaje nauczycielką w szkółce wiejskiej, stawiając sobie za cel wychowanie dzieci na dzielnych obywateli kraju. Malcy zbierali się licznie, naukę polubili; każde z nich zaczęło już czuć i myśleć inaczej, gdy wtem — naukę trzeba było przerwać.

„Nie z winy Żmichowskiej” — zaznaczają jej życiorysy.

Należy przypuszczać, że usunął ją rząd, niedowierzający jej, szpiegujący ją na każdym kroku.

W działalności Żmichowskiej, jak w całym naszym życiu narodowym i społecznym, pełno jest ciągłych przerw, ciągłych zboczeń i odskoków „nie z własnej winy”. Burze polityczne i sieć międzypaństwowych intryg, zadzierzgnięta dokoła nas, przewala zamiary, porywy i wysiłki nasze jak domki z kart, nie pozwalając dojrzeć plonom rzucanych siewów.

Tak było z projektem pensyi w Poznaniu; tak z siecią szkół i ochron, któremi chciała pokryć Polskę; tak wreszcie z nauczycielstwem jej ludowem.

Spędzona z posterunku, osiada znowu na stałe w Warszawie.

Było to w 1857 r. Czas dla duszy polskiej nastał już lepszy.

Po bezmyślnej gonitwie za uciechami i karyerą z jednej strony, a jakimś dziwnym obezwładnieniem, ociężałością i martwością z drugiej — zabił ruch żywszy. Zmar-

twychwstaje znowu sprawa włościańska. Założenie Akademii medyczno chirurgicznej budzi poryw do nauki wśród młodzieży męskiej. Kształcą się i czytają dużo kobiety. Żmichowska staje odrazu na czele tych najwybitniejszych, które krzeszą zapal w narodzie do wszystkiego, co dobre, piękne i mocne w znaczeniu organizacyi społecznej. Mieszkanie jej na trzecim piętrze przy zbiegu ulic Miodowej i Senatorskiej, tak zwane „Miodogórze“, gromadzi zastępy młodzieży, która ją czci i wielbi. Jest wśród niej Edward Jurgens i inni przywódcy powstania 1863 r. Znowu rozpoczynają się długie i pełne zapалу rozprawy przy kominowym ogniu, te małe sejmiki, na których po dawnemu łaskę marszałkowską trzymała Narcyza. Zajaśniało znowu pełnym blaskiem jej życie. „Obejrzało się (na mnie) słońce i świeci, choć zachodzi“ — pisze w tym czasie o sobie do siostry Hortensyi. Zawsze czynna i niezmordowana w trudzie roboczym, podejmuje pracę nad wychowaniem kobiet. Widzi braki ich przygotowania, widzi ich bezradność życiową.

Każdy dzień przynosi nowe potrzeby, stawia odmienne wymagania, a kobieta stoi w miejscu, niezdolna do walki z losem: dziecko prawie, które jednak czekają najbardziej odpowiedzialne zadania i obowiązki.

Postanawia je dźwignąć Żmichowska. Żywem słowem, piórem i przykładem pobudza do pracy nad sobą i do zdobywania nowych warsztatów roboczych.

Uznały te jej wysiłki Entuzyastki i zamierzyły złożyć hołd przywódczyni swojej.

Zebrawszy na pergaminie z ozdobami malarza B. P. podpisy „siostr Polek“, znalazły się któregoś ranka na progu Miodogórze. Śród wielkiej ciszy i wzruszenia, które zaparło im oddech, wręczyły Narcyzie pergamin wraz z krzyżem srebrnym, mającym oznaczać, że—choćby po cierniach—pójdą za nią wszędzie i dźwigać będą brzemię Golgoty.

„Słów było niewiele: łyż rozrzewnienia, łyż Gabryeli i nasze własne dopowiedziały reszty. Wszystkie poczułyśmy się z sobą zespolone”—tak opisuje tę chwilę jedna z uczestniczek.

„Nagradzacie chęć dobrą, a nie zasługę“ — odpowiedziała im Żmichowska, postanawiając się wywdzięczyć „siostram Polkom“ cyklem pogadanek, któreby pobudziły słuchaczki do rozejrzenia się w sobie, zbadania braków swoich, ocenienia zasobów i środków dla podjęcia trudów życia.

Napływ słuchaczek był ogromny. Skromne i ciche Miodogórze ledwie je pomieścić mogło. Zostały notatki, które spisywała Żmichowska przed każdym wykładem dla własnej pamięci, ale — według zapewnienia uczestniczek — nie dają one pojęcia o świetnej ich treści. Wszyscy obecni zachowali urocze wspomnienia zarówno słów Żmichowskiej, jak i ogólnego podniosłego nastroju.

Pod koniec roku 1862 została Żmichowska powołaną do wykładów geografii w świeżo utworzonym „Instytucie panien“. Ale to, co dziś byłoby wielką zaletą kursu: oparcie go na geografii fizycznej, to jest na opisie klimatu, roślinności, świata zwierzęcego i mineralnego, pokładów ziemi, jej bogactw i t. p. — naraziło Żmichowską na zarzut, że „uczy rzeczy niepotrzebnych“. Po kwartale więc była zmuszona opuścić stanowisko zajęte.

Zrywa się w tym czasie burza rewolucyjna 1863 r. Żmichowska stanowczo jest jej przeciwna. Odmawia emigracyi, t. j. uchodźcom zagranicznym, prawa kierowania ruchem. „Jeżeli działanie ma iść z kraju, inicjatywa (pomysł, zapoczątkowanie) działania od niego też iść musi“ — pisze w jednym z listów.

Jak w r. 1831, tak i teraz jest stanowczą przeciwniczką konspiracyi, t. j. tajnych knozań, schadzek, spisków, zamachów. „Konspiracya odosabnia konspiracyjnych od na-

rodu, pomiędzy nich kładzie się tajemnicą. Tajemnicze są roboty, tajemnicą pokryta śmierć. Ofiara spełniana dla narodu i za naród, a naród o tej ofierze nic nie wie. Skryte działanie nie podnosi mas, nie cuci z uśpienia, nie wlewa w nie nowego ducha. Idea patryotyczna musi mieć swych wyznawców jawnych. Polskę trzeba apostołować życiem, wyznawać ją publicznie, wyznanie podpieierać wielkimi cnotami — lub Polski nie będzie. Polska była rzecząpospolitą; Polak, dziejowo w wolności wychowany, do jawności myśli przywykły, wtedy nawet, gdyby tajemnicze spiskowanie na coś przydać się mogło, w tajemnicy działać nie umie; dla niego jedna jest tylko droga otwarta, jeden sposób podniesienia się z upadku: żyć, jak wolnemu człowiekowi i Polakowi przystało, i życiem prawa się swego dokupywać“.

Należy również do przeciwniczek manifestacyi, to jest publicznych występów w celu okazania narodowych uczuć. „Jest gromadka młodych ludzi — młodych pacholąt, powiedziećbym mogła, bo to wszystko pomiędzy 24 a 12 rokiem na metrykach obliczone — co cały swój system polityczny zamknęli w jednym życzeniu: chcą się dać zabić. Na co? dla jakiego celu? w imię jakiej narodowej korzyści? — Naprawdę, bez przesady mówię (do Erazma) — nie pytaj o to. Chcą się dać zabić Moskalom, więc dlatego drą się ku wszystkiemu, co Moskal gotów morderstwem powstrzymać: wybijanie okien, śpiewy przed kościołami, manifestacye chorągwiane — przynajmniej po cztery projekty na dzień konstable rozbijać musieli. Nasi t. zw. „Mierosławszczycy“ główne, ba, jedyne sobie z ulicznych wystąpień zrobili zadanie. Co rozumny człowiek, to już u nich pod potępieniem; ci, którzy ich w latach najokropniejszego głodu i zupełnej martwoty duchem swoim karmili, tchnieniem swoim ożywiali, na ostracyzm*) skazani“.

*) Wyklęcie, wyrzucenie z granic kraju.

Powstanie wybucha. Gabryela, zrozpaczona, przenosi się na wieś do jednego ze starszych braci i nie należy już teraz do niczego; uczy tylko małe, bardzo tępe dzieci w rodzinie, zbierając się na cierpliwość anielską, nie miała do tego bowiem ani upodobania, ani zdolności, tylko że poczucie obowiązku górowało w niej ponad wszystkim, tak że przewyciężała się i krzesła z tych zakutych głów iskry zrozumień.

*

*

*

W r. 1859 padły hasła, któremi mocno przejęła się Żmichowska, zgłębiając je i przetrawiając teraz w ciszy wiejskiej.

Było to podjęcie t. zw. „*pracy organicznej*“, t. j. wysiłków ku podźwignięciu kraju z niedoli materyalnej. Podniesienie rolnictwa, przemysłu, handlu, rozwój oświaty, począwszy od klas najuboższych i najliczniejszych aż do najmożniejszych, przyzwyczajanie do nauki gruntownej, ścisłej, urabianie świadomości narodowej, badanie potrzeb kraju pod każdym względem, poznawanie własnego społeczeństwa, budzenie w niem poczucia obowiązku, ładu, porządku, systematyczności, szerzenie idei demokratycznych — to były zadania, wymagające czynu powolnego, mrówczego, ale nieustającego i nieodzownego.

Po klęsce 1864 roku hasła te wzmogły się i objęły kraj cały twardym nakazem. W stosunkach włościańskich nastąpiła zmiana. To, co chcieli wprowadzić niegdyś Jabłonowscy, Konarscy, Staszyce, Kościuszko, zniesienie pańszczyzny — przyszło z rąk wroga w potajemnym celu rozbudzenia nienawiści klasowej i wpędzenia zbiedzonego kraju w ciężkie, nieobliczalne pod względem skutków swoich przesilenie. Doprowadzeni do ruiny posiadacze wielkiej własności ziemskiej zrozumieli, że ciężkim trudem, jak ten chłop, który do niedawna pracował na nich, dobijać się

muszą prawa do życia. Tylko twarda nauka zawodowa mogła im w tem dopomódz. Jęła się jej też skwapliwie wypieszczona do niedawna, chwytająca wiedzę po łebkach — co najkonieczniejsze — młodzież szlachecka. Z rozbawionych paniczków powstały zastępy dzielnych inżynierów, lekarzy, adwokatów, kupców, zawodowych rolników, przemysłowców, dla których nauka przestała być zabawką i płaszczykiem w celu trwonienia pieniędzy za granicą. Żądza wiedzy płomieniem ogarnęła umysły. Nauki przyrodnicze zwłaszcza stały się głównym celem dociekań.

Z niezwykłą, jak na swój wiek, energią zabrała się do nich i Żmichowska. Przez trzy lata (od 1864 do 1867) nie przestała czytać różnych botanik, mineralogii, zoologii, fizyk, chemii i t. p. Szła za ruchem, który budziła Szkoła Główna, zwracająca umysły w kierunku badań trzeźwych doświadczalnych, pozytywnych, t. j. zgłębiających to tylko, co podpada pod zmysły nasze. Dawna idealistka, marzycielka zaczęła uznawać głównie doniosłość zjawisk i wydarzeń, które można wytłomaczyć rozumowo i wyczuć dotykalnie.

Już w „Książce Pamiątek“ począł się ten zwrót jej poglądów. W zakończeniu tego utworu pisze:

„Nie bawię się po dawnemu w subtelności romansowe, nie prawię moim słuchaczom o zorzach na niebie i archanielskich wizjach; czuję, że *gwałtowniejsze cisną nas potrzeby, rozpaczliwsza dokucza nam nędza*“.

A w „Białej Róży już wyraźnie:

„Wolę wszystko, co jest zdrożne, śmieszne, zaczepne, niż marzenie; marzenie jest szkaradnym nałogiem, jest prostem pijaństwem ze wszystkimi skutkami pijaństwa, lubo z trochę na pozór odmienną przyczyną... Tyle jest do roboty, tyle jest do wyrzucenia z siebie, do odratowania w bliźnich, do wydarcia przyszłości, do odpokutowania

z przeszłych grzechów, do zasłużenia „cnotami“— a ludzie marzą! „...

Jednak—dawny jej zapał i porywy nie minęły, a wiara w potęgę i siłę woli ludzkiej, w doniosłość nakazów moralnych wzmożła się jeszcze. Usiłuje stłumić w sobie młodzieńczą egzaltację, t. j. przesadę uczuć i wrażliwości, zwłaszcza w kierunku zjawisk, pojęć i wydarzeń mało lub wcale nie uchwytnych, broni jej wszakże, gdy lecą na nią gromy potępienia.

„Jeśli namiętność jest silną wolą, ku zadowoleniu samolubnych żądz skierowaną, to egzaltacja znowu jest słabą i rozproszoną wolą, ku najlepszości, ku pięknu, ku Bogu, t. j. ku Prawdzie, skierowaną“.—Czy można się wyrzec ideałów pragnień dobrego, miłości, nie widzianego jeszcze piękna, tęsknoty za nieznanem szczęściem?—Nie—nigdy. „Ile ofiar padnie, nim dojdą do tego ludzie, by uznać prawa człowieczeństwa w kobiecie, chłopie i rzemieślniku, by odpowiednie wykształcenie ich i na koniec swobodne ich przystosowanie przysądzić. Póki tego nie będzie, póty będą dusze egzaltowane“ — pisze pod koniec życia.

Co do miłości, nabrała przeświadczenia, że jest ona „naddatkową aureolą, losem, wygranym na loteryi“. Kiedy przyjdzie — dzięki Bogu, a cześć jej; kiedy nie przyjdzie — zawsze jednak dalej taczkę pchać trzeba, bo to jest obowiązek, a do pewnego stopnia w wielu okolicznościach łatwiejszy do spełnienia, kiedy miłość na scenę nie występuje“.

W r. 1869 zwiedza po raz pierwszy Tatry i Pieniny, zagląda do Lwowa, gdzie poznaje wszystkie ówczesne znakomitości. Osiada wreszcie na stałe w Dębowej Górze i pędzi tam życie ustronne, ucząc dzieci, czytając sama dużo.

W tym czasie namawia ją uczony profesor Adolf Pański na przekład pomnikowego dzieła Macaulay'a „Hi-

storyi Anglii“. Tłumaczy 6-y i 9-y tom, a pieniądze, otrzymane za tę pracę, ułatwiają jej możliwość przeniesienia się znowu do Warszawy. Tu podejmuje wydawnictwo dzieł Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, która niegdyś na pensyi pani Wilczyńskiej była jej nauczycielką. Ze zwykłą sobie obowiązkowością przystąpiła do tego zadania i z pełnem uznaniem dla pism Tańskiej, które w swoim czasie wywarły na nią wpływ duży, zwłaszcza zaś „Rozrywki“ i „Dziennik Krasieńskiej“. Na tym ostatnim postanowiła nawet wzorować swoją własną twórczość, mimo wielkiej różnicy usposobień, która na samym wstępie wyryła przepaść między uczennicą a nauczycielką. Pewna oschłość Tańskiej i ściśle stosowanie się do własnych książkowych przepisów oddaliły od niej pełną rozlewność uczuć i bujnej wyobraźni Żmichowską, która nie umiała iść krok w krok, stąpać ostrożnie za raz obranymi drogowskazami. Rozdzielił obie autorki zresztą — i to najmocniej — charakter epok, które przeżywały: klasycyzm, t. j. hołdowanie ściśle określonej, na starych wzorach opartej formie Hoffmanowej, i romantyzm — bujna, z podań ludowych wysnuta, fantastycznych nieprawdopodobieństw pełna, starą formą gardząca twórczość Gabryeli.

Myśl o wykształceniu dorastających pokoleń towarzyszy nieodstępnie ostatnim celom jej życia. Pisze artykuły, w których powstaje przeciwko ówczesnemu uczeniu dzieci obcych języków. Nazywa to plagą od szarańczy gorszą, odwiecznem, niewykorzenionem dotąd głupstwem i pod tym względem idzie za Hoffmanową; która pierwsza potępiła pęd nasz do cudzoziemczyzny.

Dzwoni na alarm Żmichowska, żądając wychowywania nie tylko serc i umysłów, ale także hartownych, krzepkich ciał naszej młodzieży. „Gdy zarażonych poratować nie można, krzątajmy się około zdrowych“ zostało hasłem po niej.

W nieustannej swej trosce wychowawczej daje gronu

sposobiących się do nauczycielstwa elementarnego uczennic swoich wskazówki, jak należy uczyć, na jakich zasadach oprzeć pracę nad rozwijaniem umysłu dzieci, jak zresztą uzupełniać braki własnego wykształcenia.

Obok nauczycielskich swych zajęć gromadzi Żmichowska w tym czasie nieustannie wspomnienia młodości, ażeby na ich tle skreślić pouczające obrazy dla przyszłych badaczy rozwoju duchowego i ustrojów rodzinnych u nas. Tak powstało opowiadanie o Edmundzie Strzeleckim w „Ate-neum“ 1876 r.; tak powstał rodzaj pamiętnika: „Czy to powieść?“

W ciągu ostatnich paru lat życia dokuczały jej ostre cierpienia. Mimo to nie traciła pogody ducha. Żartowała zawsze, iż żyć będzie sto lat. Ale przyszły ciosy, które ją zmogły: śmierć trzech najserdeczniejszych przyjaciółek, Kazimiery Ziemięckiej, Wincenty Zabłockiej, Anny Skimborowiczowej, a nadewszystko—śmierć ukochanego brata i mistrza, za którym szła ze ślepą wiarą w jego hasła: Erazma.

Od czasu powrotu jej z Rheims wzywał on ją kilkakrotnie do siebie. Wielką była dla niej pokusa wyjazdu, gorącą, jak żar wszystkich nie spełnionych pragnień, chęć zobaczenia brata. Ale w kraju tyle pracy, „takie wielkie żniwo, a tak mało robotników“, że nie mogła wypuścić z rąk sierpa swego: zostawała po każdym wezwaniu, nie zdradzając nawet przed najbliższymi, ile ją to kosztowało.

Nieszczęścia przyspieszyły skon Gabryeli. Zmarła 26 grudnia 1876.

Zeszła do grobu wielka poetka, której twórczość rzadko kiedy trącała o nutę wyłącznie narodową, obejmując zwykle zagadnienia ogólnoludzkie i przeżycia, które wychodzą poza obręb ścisłego umiejscowienia. A jednak nie możemy jej zaliczyć do autorów kosmopolitycznych, t. j. wszechnarodowych: tak bardzo polskim jest nastrój i środowisko i tło ogólne każdej jej powieści, takimi są

dusze niektórych bohaterów i bohaterek z najbardziej nawet nie polskich powieści, jak np. „Poganka“.

„Książka Pamiątek“ wyrosła już bardziej na gruncie czysto polskim. Taką rodziną zbożnego ślusarza, wśród której wybuchał kwiat przeczystej poezji i sztuki: uroczą Helusia, słowik o duszy małej niebianki, spotkać można było podówczas chyba tylko w Polsce, gdzie rozpryskały się o mur piastowej łagodności i pocziwej, miękkiej słodczy szalejące w Europie całej hasła demagogiczne. Helusia i całe jej otoczenie to obrazek z cichej staropolskiej sielanki. Ale reszta rozplywa się w zagadnieniach i wskaźnikach ogólnych, w ostrzeżeniach przed zasadzką sztuki i zachłannego samolubstwa wielkich artystów. To, co się dzieje w „Pogance“ lub w „Książce Pamiątek“, mogło być tak samo we Francji, Austrii, Niemczech, Włoszech, Hiszpanii i t. p. Tkliwa Szopenowska rzewność jednak, przesycająca te utwory, mogła spłynąć tylko w ciszy polskiego dworu, pod strzechą zbożnej piastowej rodziny.

Nie była popularną, t. j. bardzo czytaną i znaną, Gabriela u nas nigdy, gdyż nie lubiła poruszać stosunków codziennych, zwykłych. Za jej czasów zresztą rozchwytywano u nas najbardziej powieści francuskich autorów: Dumas'a, Sue'go, Gaboriau, pełne t. zw. „sensacyjności“, t. j. nadzwyczajnych wypadków, osnutych dokoła tajemniczych morderstw, poszukiwania i odkrywania wielkich skarbów, rozplątywania sieci intryg i t. p. Pochłaniało to chciwe wrażeń umysły. Wydawcy schlebiali upodobaniom tłumu, rzucając w świat te sensacje na możliwie przystępnych warunkach. Dopiero prace Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Chodźki, Rzewuskiego, Wilkońskiego zaczęły potrosze walczyć o lepsze z tłumaczeniami utworów francuskich.

O „Pogance“ wiedziało zaledwie trochę ludzi w Warszawie i w Poznańskim, pozatem—milczano o niej. W czasopismach ówczesnych prawie nie wspomniano o Gabrieli.

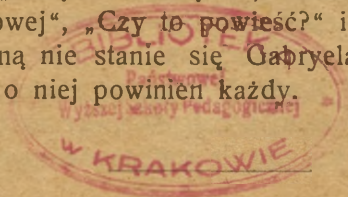
Z historyków literatury jeden tylko Edward Dembowski, osobisty przyjaciel poetki, „entuzysta“, pomieścił jej nazwisko w dziejach piśmiennictwa naszego; ale szerszy ogół po śmierci jej nic już nie wiedział o niej. „Tylko wśród ukształconej młodzieży, która wszystko, co wielkie i szlachetne, ukochać umie, miała Gabryela gorących wielbicieli“ — pisze Chmielowski; ale nie zdołali oni według niego naprawić krzywdy, wyrządzonej poetce naszej przez historyków piśmiennictwa...

W nowszych czasach poczęto się zaznajamiać z jej utworami. Wyszło w 1885 nowe wydanie „*Pism Gabryeli*“, opatrzone słowem wstępem Chmielowskiego; wyszły później „*Listy*“, wydane przez jedną z Entuzyastek.

Dzisiejsze pokolenie rozumie ją lepiej, aniżeli współcześni; podniósł się bowiem poziom ogólnego wykształcenia, przyzwyczaili się ludzie czytać opowiadania nie tylko o samych codziennych wydarzeniach lub o nadzwyczajnych mordach i intrygach, większość naszych autorów dzisiejszych, jak Żeromski, Reymont, Strug, Sieroszewski, poruszają sprawy bardzo głębokie i uczą nas myśleć zarówno o tem, co się dzieje w duszach naszych, jak i o tem, co powstaje z łona starć społecznych, walk narodowo-klasowych, zjawisk wszechświatowych i między państwowych powikłań.

Wyćwiczył się na ich pracach umysł najzwyczajniejszego czytelnika. Nie bawią go już takie bardzo proste, jak dawniej, opowiadania; więc „Poganka“, to arcydzieło Żmichowskiej, które nie przestanie nigdy czarować urokiem formy i treści, przemówi do niego napewno bogactwem obrazów, pomysłowością fantazyi, głębią uczucia i barwą języka. Zajmie go „Książka Pamiątek“, zaciekawi „Stary dwór w Świerszczowej“, „Czy to powieść?“ i inne.

Popularną nie stanie się Gabryela może już nigdy, ale wiedzieć o niej powinien każdy.



2599



UP - Kraków BG



1050152294